

odgłosy



Nr 15 (319)
12. IV. 1964 R.
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII

**W numerze: Jak wysłać obraz księżnej Monaco? • Procesy najhaniebniejsze •
Tradycje łódzkie: teatr i piosenka • Satyra wojująca • Podróż w Bieszczady
• Felietony • Recenzje • Polonica**

Stanisław CZERNIK **Z notatnika WISLANWSKIEGO**

Można by te notatki nazwać kartkami z dziennika, pisane były bowiem z dnia na dzień w czasie krótkiego pobytu w Wiśle w maju 1959 r. Nie miały jednak „programowego” charakteru dziennika, powstały bez tego swoistego „przymusu”, tak znamiennego dla dziennika, zbliżyły się raczej do notatek poetyckich, niektóre z nich zastępują wiersz, niektóre są zalążkami poematu lub eseju, inne tylko pospolitymi zapiskami „dla pamięci”.

Z wędrówek, przechadzek, wycieczek przynoszących pewne spostrzeżenia działające na wyobraźnię. Zaczęło się od kontemplacji zwykłego kretowiska. Wieczorem przed snem, zanotowałem wrażenie. Następnego dnia znów znalazłem okazję do notatki. Tak powstawało prawie przyzwyczajenie do wieczornych zapisków, którymi starałem się zakończyć dzień. Prawie zawsze nadarzała się sposobność, zwłaszcza gdy sprzyjała pogoda. Ale i dni deszczowe nie mijaly bez echa: temat do notatek czerpałem wtedy z rozmyślań nad książką lub czasopiśmie.

Oto wybór. Każda zapiska mogłaby mieć odrębny tytuł. Nie chciałem jednak wprowadzać nazw, ale zachowałem daty.

4 maja

Bulwka wysypu, żółtawy kopczyk glinki. Jak młazsz pastwiska. Świeży, może sprzed godziny. Jeszcze wilgotny, nasiąknięty chłodem podglebia. Spośród wysypu wynurza się lebek. Nie lebek kreta — twórcy kretowiska. Nie lebek robaka: ani żywa, ani organiczna rzecz. Martwa: lebek gwoźdźla, starczy, nadzarty rdzą, zwiotczały.

Jaka przegość! Być tegim, twardym, ostrym, prawdziwie żelaznym. Stworzonym na element tworzenia. I zginąć! Zapasie się w brudzie pastwiska. Wgnieciony kopytem konia, przyorany plugiem, gnić



w obcym świecie, w obrym, w każdej najdrobniejszej cząsteczce. I dopiero rdza, pierwsza rdza wytwarza załazek swojszczyzny, początek własnego świata. Kosztowny początek, na każdy pyłek traci się własną cząstkę, cząstkę żelaza, kawałek gwoźdźla. Tak powstawało gniazdo rdzawe, swojskie, rodziło się nowe ze starego.

Aż niespodzianie kret wdarł się w ten proces. Zniszczył to, co narosło z rozkładającego się gwoźdźla. Wyrzucił na powierzchnię pastwiska. Z kopczyka glinki wynurza się lebek gwoźdźla przywróconego światu. Przywróconego, chociaż nie spełnił swych zadań, i już ich nie spełni gwoźdźdź-staruch. A jednak, czymś, był. Przez osobliwy swój los też może przysłużył się światu.

5 maja

Już kilka razy tam byłem. Ale zapragnąłem ponownie ujrzeć to miejsce. Myślałem o nim. Jest w nim dla mnie coś przyciągającego, jakaś „atmosfera”, jakiś genius loci, zwracający się do mnie: wróć, spojrzaj, pomysł.

Tu łączą się Czarna i Biała, dwie Wisłki. Od tego miejsca zaczyna się Wisła. Dwa strumienie górskie, dwa szumy zlewają się w jeden bardziej twórczy strumień-szum.

Oglądam. Przystanek autobusowy. Dro-

Dalszy ciąg na str. 5

Obrachunki XX-lecia

ŁÓDZKIE ROLNICTWO

Podłowicka wieś Bocheń, gdzie właśnie przed kilku dniami uroczystym odsianiem tablicy na murach miejscowej szkoły upamiętniono Adama z Bochenia, jednego z rektorów sędziwego już dzisiaj staruszka — Uniwersytetu Jagiellońskiego, na pewno nie jest typowa. Mówią o niej nawet, że jest najbogatszą wsią na całej Ziemi Łódzkiej. Przejawem tej zamożności są już nie tylko motocykle, ale nawet i samochody, których kilkanaście stoi w wiejskich zagrodach.

I chociaż jakiegokolwiek uogólnianie bocheńskiego przykładu nie byłoby trafne

— nietrudno przecież przeprowadzić wymowne porównania wsi przedwojennej i dzisiejszej choćby tylko na podstawie ich wyglądu. Wrosnięte w ziemię, pokryte siomianą strzechą chaty — jak obecnie wiatraki — będą wkrótce poszukiwanym przez artystę-malarza elementem wiejskiego pejzażu.

Jeśli tak odmienny jest obraz dzisiejszej wsi, najlepszy to znak, że jej mieszkańcom żyje się dostatniej, że ziemia rodzi obficie, a produkcja rolna popłaca.

W obrachunkach dwudziestolecia jest więc poczesne miejsce również dla rolnictwa. Czytelnikowi zaoszczęd-

zićmy długich kolumn liczb, uciec od nich jednak zupełnie — nie sposób.

Spróbujmy więc skonfrontować tylko najważniejsze.

W r. 1938 przeciętne zbiory pszenicy w woj. łódzkim wynosiły 13,9 q z ha, żyta — 12,6, ziemniaków — 129, buraków cukrowych — 220.

W r. 1963 uzyskano odpowiednio: pszenicy — 20,2 q, żyta — 17,2, ziemniaków — 130, buraków cukrowych — 278 q.

W r. 1938 na 100 ha użytków rolnych była 43,4 sztuki i trzody 23,9.

W r. 1963: 50,4 i 56,6. Liczby te nie wymagają komentarza. Nasuwają jed-

nak od razu pytanie: dzięki czemu było możliwe osiągnięcie tak poważnych rezultatów?

Zamiast odpowiedzi, która musiałaby dotyczyć pryncypiów naszej polityki rolnej, ograniczmy się tutaj tylko do kilku liczb i faktów, obrazujących pomoc państwa dla rolników woj. łódzkiego. Jest to oczywiście pomoc wielostronna, najbardziej jednak widoczna w liczbach nakładów finansowych na inwestycje.

W latach 1950—65 środki przeznaczone na ten cel sięgają 2 mld 900 mln zł. Rzecz przy tym szczególnie godna podkreślenia: stały wzrost nakładów. Jeżeli wykonanie planu inwestycyjnego w latach 1950—55 przyjmujemy za 100, to w następnym pię-

Dalszy ciąg
na str. 3

DZIEŃ WŁÓKNIARZA

Święto włóknarzy jest świętem Łodzi; jest świętem Białegostoku i Bielska. Ale przede wszystkim Łodzi. Około 75 proc. ogólnego zatrudnienia w przemyśle łódzkim przypada na przemysł włókienniczy. 130 tysięcy robotników to tkacze i tkaczki, cerowaczki, pracownicy warsztatów mechanicznych. W miastach podłódzkich rozwija się ten sam typ przemysłu. Te miasta, połączone z Łodzią licznymi więzami, które zatrudniają dziesiątki tysięcy włóknarzy, awansują Łódź do roli największego ośrodka przemysłu włókienniczego w Polsce. Produkcja tkanin bawełnianych i wełnianych, dziewiarska i pończosznicza w Łodzi stanowi 50 i więcej procent produkcji krajowej. Święto włóknarzy jest więc świętem całej Łodzi. Powiadamy: Łódź włóknarska. Mamy na myśli dziesiątki tysięcy robotników, włóknarek i włóknarzy. Mamy na myśli ich trudną, codzienną pracę. Mamy na myśli tysiące kobiet stojących przy krosnach. Tysiące kobiet, które pracują dla miasta, pomnażają dobrobyt kraju.

Ale święto włóknarzy jest nie tylko świętem robotnika. Łódź stała się dzisiaj także poważnym ośrodkiem naukowej myśli technicznej. W naszym mieście powstały placówki naukowe pogłębiające wiedzę włókienniczą. Rokrocznie Politechnika Łódzka przysparza nam nowych inżynierów włókienników. Wydział Włókienniczy istnieje w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. W Łodzi jest Instytut Włókiennictwa i Instytut Włókien Sztucznych. Liczne laboratoria pomagają zakładom pracy przy rozwiązywaniu trudności produkcyjnych. Pracownicy naukowcy torują drogę usprawnieniom technicznym i postępowi. Plastyki upiekają nasze tkaniny. Mówimy: święto włóknarzy. Mówimy także: święto tych wszystkich ludzi pracy i nauki, którzy związani są z przemysłem i temu przemysłowi służą. Służąc przemysłowi służą także miastu.

Mówimy: święto włóknarzy. Ale mówimy także o tych wszystkich, którzy w trudnych czasach przedwojennych i czasach okropnej wojny poświęcili swoje życie, aby w tym mieście, które nazywane było kiedyś złym miastem, zapanowały sprawiedliwe stosunki społeczne. Którzy padli w walce. Którzy na przelomie nocy niewoli zabezpieczyli i uruchamiali pierwsze fabryki. To dzięki nim nasze miasto jest takie — jakie jest, coraz piękniejsze. Historia włóknarzy jest także historią Łodzi. Święto włóknarzy jest naszym świętem.

PERYPETIE DEMOKRACJI

„Jest to zły rok dla biednej demokracji” — pisał ironicznie z końcem 1861 roku (w 8 miesięcy po wybuchu wojny domowej w Ameryce Północnej) do jednego ze swych przyjaciół angielski przywódca liberalny William Gladstone. Demokracja jako system władzy była od dawna zdyskredytowana w oczach ludzi przynależących do elit europejskich. Eksperyment z demokracją w okresie Rewolucji Francuskiej był krótkotrwały, zrodził terror jakobiński, a następnie reakcję Termidoru. Demokracja francuska lat 1848—1849 doprowadziła w rezultacie do dyktatury cesarzystycznej Napoleona Małego. Przed stu laty tylko w jednym kraju europejskim istniała demokracja polityczna, mianowicie w Szwajcarii. Lecz kraj ten, w istocie zlepek małych kantonów, znajdujący się w szczególnej sytuacji geograficznej, różnorodny w swym składzie etnograficznym był klasycznym „wyjątkiem potwierdzającym regułę” — regułę o niemożliwości demokracji. Jedynie za oceanem istniało i rozwijało się bujnie wielkie państwo demokratyczne — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Ale szybko zastrzążając się przeciwstawiła między Północą i Południem tego państwa, a wreszcie rozpad Unii po wyborze w listopadzie 1860 r. Lincolna na prezydenta i wybuch w kwietniu 1861 roku wojny domowej — raz jeszcze potwierdzał „prawo dziejowe”. Przeciwnicy demokracji triumfowali. Eksperyment amerykański, jak i poprzednie eksperymenty demokratyczne, zakończył się klęską — rozkładem państwa, wojną bratobójczą.

W tej antypatii do demokracji — zauważmy — nie nie dzieliło ziemianskich konserwatystów od mieszczańskich liberalów. Obrońców idei demokratycznych najwięcej było wśród przywódców i w szeregach ruchu robotniczego. U góry społeczeństwa słowo „demokrata” traktowane było jako obraza. Zamiennie używano pojęć „demokrata”, „jakobin”, a w świecie anglosaskim „leveler” dla szkalowania przeciwników ze skrajnej lewicy. Ale też rewolucyjni czartyści angielscy nazywali siebie z dumą „demokratami”. Konty-

entalni komuniści sprzed 100—120 lat określali się proletariackim skrzydłem demokracji. Gdy Marks przystąpił do wydawania w 1848 roku w Kolonii dziennika, który nazwał „Nową Gazetą Reńską”, dał mu podtytuł „Organ demokracji”.

Każda klęska armii Lincoln na pierwszych dwóch latach wojny wydawała się być podzwonem demokracji. Ale losy wojny obróciły się, armie niewolniczego Południa otrzymywały cios za ciosem. Lincoln, początkowo stojący na pozycjach raczej umiarkowanych, aniżeli radykalnych, bronił raczej jedności Unii amerykańskiej, aniżeli atakując system oligarchiczny — niewolniczy, dostrzegł z czasem „wielkie ideologiczne znaczenie prowadzonej przez siebie krucjaty. Murzyni otrzymali wolność, umożliwiono masową kolonizację na roli wszystkim chętnym, choćby pozbawionym środków, a prezydent Stanów Zjednoczonych proklamował wolę walczących „by rząd ludu, poprzez lud i dla ludu nie zniknął z tej ziemi”. Gdy w kwietniu 1865 roku Południe poniosło ostateczną klęskę, sprawa demokracji światowej wydawała się triumfować, jej krytycy zamilkli, jej przyjaciele nabrali otuchy, a wspomniany przez nas liberal Gladstone — jak i wielu innych — zaczął się przychylić ku programowi umiarkowanych reform demokratycznych.

Gdy sto lat temu mówiono „demokracja”, nie miało na myśli swobód obywatelskich (tych bronili już liberalizm), lecz tylko jedną w istocie rzecz: równość prawa wyborczego dla wszystkich mężczyzn (równa prawa dla kobiet wydawały się jeszcze utopią), którego oczywistą przesłanką było istnienie systemu przedstawicielskiego. Toteż zwycięski pochód demokracji politycznej w świecie wypełnia ledwie historię ostatnich stu lat, a omawiane przez nas wydarzenia na zachodniej półkuli stanowiły ważny punkt zwrotny w jej losach. Lecz najbardziej istotne zwycięstwo osiągnęła demokracja w świecie kapitalistycznym w dwóch wielkich falach rewolucyjnych, które wiązały się z końcem wpliw-

perszej, a później drugiej wojny światowej. Zwycięstwa te wiązały się więc z wyłanianiem się nowego, rywalizującego z kapitalizmem ustroju socjalistycznego. Niemniej pierwsza zwycięska fala po 1918 roku zrodziła jako reakcję faszyzm, który wiązał intelektualną i ideową krytykę demokracji z brutalnymi zamachami na jej instytucje i terrorem wobec jej zwolenników.

Doświadczenia faszyzmu, łącznie z doświadczeniami jego najstraszliwszego rezultatu — ostatniej wojny światowej, przekonały decydujące grupy wśród elit wielkich państw kapitalistycznych, że demokracja polityczna jest znacznie trwalszą i skuteczniejszą formą dla zachowania swych pozycji ekonomicznych i politycznych, swego wpływu i prestiżu aniżeli faszyzm. Mimo to notujemy niejedną regres. Jeden z najlepszych badaczy „elity władzy” i najostrzejszych krytyków współczesnego układu stosunków w Stanach Zjednoczonych, Wright-Mills, nazwał ustrój polityczny swego kraju „dwupartyjnym totalizmem”. W poszczególnych krajach grupy elitarne rządzą poprzez jedną partię, która na długie okresy utrzymuje się w steru: konserwatyści w Anglii, chadacy w Niemczech i Włoszech (choć wydarzenia ostatnie podważają do pewnego stopnia takie możliwości). Szczególny kryzys metod politycznych i ostry nacisk reakcji doprowadził we Francji do powstania silnego systemu władzy prezydenckiej, unicestwiającej elementarne wymogi demokracji. Rola parlamentu oraz partyjnych grup parlamentarnych uległa w krajach demokracji burżuazyjnej zważeniu wskutek skupienia nadmiernej władzy przez kierownictwa partyjne.

Nie mówimy w tym miejscu o faktycznym ograniczeniu, a nawet niwelowaniu demokracji wskutek kontroli sprawowanej przez wielki kapitał nie tylko nad życiem ekonomicznym, ale i nad prasą, radiem, telewizją, wydawnictwami. Do odrębnych rozważań nadaje się sprawa nowo powstałych państw Azji i Afryki, w których mnożą się dyktatury. Przypatrując się więc współczesnej demokracji politycznej silnie narzuca się wrażenie jej ograniczonego zasięgu terytorialnego oraz wielu formalnych i faktycznych ograniczeń tam, gdzie ona istnieje.

A spawa demokracji w świecie socjalistycznym? To temat wielki, ważny i samostojny. W nim też znajduje się klucz do rozwiązania podstawowych problemów wynikających z konfrontacji ideału demokratycznego z rzeczywistością.

odgłosy W świecie

„Byłem fonałem — to mój właściwy zawód — Pan, u którego służyłem płacił mi rocznie 350 lirów. Działo się to zaraz po wojnie w Bernalda. Pieniądz ten wart był tyle ile kosztowało na czarnym rynku pudełko papierosów amerykańskich”.

Józef Panco jest mały i chudy, ma głęboko zapadłe oczy. Lampa naftowa filuje, rzuca czarne cienie na twarz mówiącego. Twarde rysy jego twarzy mówią o ciężkiej pracy całych pokoleń chłopskich.

„Mój los był lepszy niż innych chłopów. Ja zarabiałem 350 lirów, inni tylko 200. Płacono wszystkim raz w roku, w wigilię Bożego Narodzenia. Po pensję przychodziły kobiety. Bały się, byśmy z rozpaczą i tych pedznych groszy nie przepili w sąsiedniej karczynie. Ale rzadca twierdził, że to i tak za dużo, bo pan daje nam wyżywienie. Miesiąc w miesiąc otrzymywałem 20 kg chleba, 1 kg soli, 1 litr oleju i wino. W domu żona i dzieci... Cielcio miał zaledwie kilka miesięcy i dał się z głodu. — Dzieciom małym podobno dobrze dawać cukier — ja go memu dziecku dać nie mogłem. A Maria, Domenico... ileż to razy widziałem jak szukali kawałka chleba. Gdy o tym powiedziałem rządzący on mi na to: — „Chłopi pracują lepiej i mniej mówią. Ty masz 350 lirów i tylko szukasz co by kupić, chciałbyś

GIUSEPPE GRAZIANI,
DZIENNIKARZ Z CZASOPISMA „EPOCA” ODWIEDZIŁ SYCYLIJSKIEGO CHŁOPA NAZWISKIEM PANCO W JEGO GOSPODARSTWIE NABYTYM Z REFORMY ROLNEJ. WYWIAD TEN NAJLEPIEJ ODDAJE OBECNĄ SYTUACJĘ WŁOCH, MOŻE NIE CAŁYCH WŁOCH, ALE SŁUCHAJĄC GIUSEPPE PANCO TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE NA PÓLNOCY TĘTNI ŻYCIEM MEDIOLAN,

znalazłem pracę w lesie. Wstawiałem o 3 rano. Jadłem śniadanie — chleb z cykorią, i szedłem 15 km do lasu. W południe podczas godzinnej przerwy jadłem chleb z cykorią, czasami dawano nam wino. Wieczorem w domu jadłem chleb z cebulą lub fasolą — trzeba trochę zmieniać jedzenie, nie można ciągle jeść tego samego.

Razu pewnego przyszedł do nas jacyś młodzi ludzie. Mówili o polityce. Radzili złożyć podanie o ziemię i dom na własność. Napisałi za nas podanie — bo nikt z robotników nie umiał czytać ani pisać. Ale w tę ziemię nikt nie wierzył. Minęło 7 miesięcy. Był rok 1959. Pracowałem znów u pana, gdy zjawił się jeden z tych młodych i powiedział mi, że dostałem ziemię z reformy rolnej. W Casinello wręczono mi kwit na gospodarstwo nr 65, tutaj w Metapontino. Gdy powiedziałem o tym żonie jeszcze nie wierzyła. A ja chciałem tylko pić i spać. Wciąż jeszcze nie widziałem ziemi i trudno mi było w nią uwierzyć”.

Po kilku dniach, gdy znalazłem się w Metapontino, zrozumiałem, że ziemia była moja. Zabrałem się do pracy, jak wół, od świtu do nocy. Ale radość trwała krótko. Ziemia tutaj to piasek, który pali korzenie roślin. Wiele z tych o przyszedł ze mną odeszło, bo choć ziemia była nasza i byliśmy właścicielami, ale dalej byliśmy głodni. Ja

Opowieści Z POŁUDNIA

mieć za dużo. Widzisz, teraz jest demokracja. Pan musi płacić ci ciebie”.

Nie rozumiałem co to znaczy, że pan płaci demokracji, a nie wprost mnie. Nie wiedziałem także co to jest demokracja. Ale wyjaśniono mi. Wynikało z tego, że pan wypłaca pieniądze, a gdy chłop zachoruje, to ma za darmo lekarza i lekarstwo. Także i żona jego, i dzieci. A gdy chłop do starości pracuje u pana to potem, aż do śmierci dostaje pieniądze. To jest prawdziwe dobrodziejstwo — mówił rzadca.

Dzieci dorastały — już mogły same zapracować. U nas wszystkie dzieci gdy ukończą lat 10 pracują na siebie, na swoje wyżywienie. Wtedy tylko na kolację trzeba im dać trochę oliwy, sałaty czy garść maki i to im już starczy. Dzięki Bogu byliśmy zdrowi, choć tak często byliśmy głodni. Ja tylko cierpiałem na zęby. Poprosiłem doktora. Ale rzadca nie pozwolił doktorowi zabrać głowy takim głupstwem jak zęby, które — jak mówił — nie muszą być leczone, bo i tak wylecą. I rzeczywiście, po niedługim czasie, ból ustał, a zęby wyleciały — tak jak powiedział rzadca! Niedługo potem zachorowała żona. Była znów w ciąży. Czuli się źle, a w dodatku była ciągle głodna, bardziej głodna niż my wszyscy. Wtedy znów poprosiłem rzadca o lekarza. Obiecał go przysłać. Czekaliśmy cały dzień i całą noc. Ale lekarz nie zjawił się, a rzadca, położywszy mi rękę na ramieniu, wyjaśnił, że demokracja bierze pieniądze, ale lekarzy nie przysyła. Oddałem żonę do szpitala. Urodziła bliźnięta, z których jedno tylko pozostało przy życiu. Mnie pozostał jeszcze rachunek do zapłacenia, a pieniędzy nie miałem. Postanowiłem zmienić pracę. Ale co z zaopatrzeniem na starość? Pan płacił na mnie. Poszedłem do biura. Tam pewien profesor, bardzo wykształcony i dobry, powiedział mi całą prawdę. Nikt nigdy na mnie nie płacił, nie należała mi się żadna emerytura, nie byłem nigdy ubezpieczony.

Nowa praca dała mi lepsze zarobki. Po raz pierwszy od lat żona ugotowała tyle mięsa, że dla wszystkich starczyło. Dotychczas jedliśmy mięso tylko 3 razy do roku — na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i w świętego Bernarda. Gdy robota przy kanale się skończyła, byłem bezrobotnym. Ale

nie chciałem odejść jak tamci. Razu pewnego przyszedł jeden taki co oblicza podatki. Coś pisał, wyliczał, ale coś z tego można było zrozumieć. Nastal 1960 rok — rok nieurodzaju. Poprzedziła go powódź. W 1960 r. nie było ani kropli wody. Ziemia wyschła, nie mogła rodzić. Ale podatki były takie same, bez żadnej zmiany, bez zniżki.

Zauważyłem, że ci którzy tu znów te raz nastali sadzą tytoń. Zdecydowałem się i ja na tytoń. Ale bez motopompy nie można przystąpić do tej uprawy. Są różne sposoby, aby otrzymać narzędzia. Daje je rząd, dają przedsiębiorstwa. Ale wszyscy żądają przedpłaty — 150 tysięcy lirów. Ja ich nie miałem. Pewnego dnia, kiedy myślałem, że nie ma już dla mnie wyjścia, jakiś samochód zatrzymał się przed domem. Ktoś pytał o drogę. Wdałem się w rozmowę. Okazało się, że on też handluje pompami. Po paru dniach przywiózł mi motopompę. Czyż to nie cud! Zaraz przystąpiłem do uprawy tytoniu.

Tymczasem przyszło pismo wzywające mnie do zapłacenia natychmiast 150 tysięcy lirów. Nie miałem ich. Tym razem cud się nie zdarzył. Nie zapłaciłem — nie mam z czego zapłacić.

Właśnie czekam na komornika. Z domu nie mi nie weźmie — tam nie ma co brać, ale na podwórzu stoi motopompa, a w stajni muł — bez pompy i muła nie poradzę”.

Światło lampy naftowej przygasa... w izbie wieje groza.

Pozostaliśmy sami — ciągnie chłop — ja, żona i córka, ta najmłodsza. Skończyła 5 klas szkoły. Chciała uczyć się dalej, ale nauka kosztuje. Musi tu pozostać. Pomaga matce i czyta raz po raz te książki, które miała w szkole.

Tutaj nie ma elektryczności, ani ba ru, ani domów z telewizorami. Nikt z młodych tu nie przyjdzie. Co dzień po kolacji siedzimy tu tak długo, aż ogień nie zgaśnie”.

„O czym mamy mówić?... czy o tym, że nie ma co jeść, czy o tym, że przyjdzie komornik? Wszyscy to wiemy, wiemy to samo. Dlatego wolimy milczeć i tylko patrzeć jak głównie dopalają się w kominie. Nie mamy sobie nic do powiedzenia”.

Opracowała:
MARIA TYMOWSKA

POLONICA

„KONIEC NASZEGO ŚWIATA”

Według informacji gazety („Die Andere Zeitung”, 19. III. 64) odbył się zamknięty pokaz nowego polskiego filmu „Koniec naszego świata”. Dziennik zamieszcza obszerną recenzję pióra Urszuli Rut, o filmie Wandy Jakubowskiej. Autorka kończy swoją pozytywną ocenę filmu następującą konkluzją: „Byłoby wręcz koniecznością pokazanie tego filmu, w którym mówi się po polsku, niemiecku, francusku, angielsku, w kinach Niemieckiej Republiki Federalnej”. Miejmy nadzieję, że to wkrótce nastąpi. W związku z toczącym się w Frankfurtie nad Menem procesem zbrodniarzy oświecenijskich, wyświetlanie filmu „Koniec naszego świata” byłoby bardzo na czasie.

CZY SUKCES?

Pisma nasze podały, że młoda piosenkarka, Ewa Demarczyk, odniosła wielki sukces w Paryżu. Jak zwykle, przesadzono w doniesieniach prasowych. Przede wszystkim pi-

sano o występach Demarczyk mało, po drugie w pismach podrzędniejszych, a po trzecie — pochwały nie wykroczyły poza zdawkowe grzeczności.

O POLSKICH TEATRACH

Dotarli do nas ubiegłoroczny numer czasopisma wydawanego w Nowym Jorku. W numerze tym zwraca uwagę artykuł Rosamond Glider pt. „European Theatres Revisited” (Ponowne odwiedzin w teatrach europejskich), w którym mowa jest również o życiu teatralnym w Polsce. Autorka pisze o repertuarze teatrów warszawskich, gdzie można zobaczyć wszystko, co cenne i ciekawe, od klasyków starożytności aż po współczesne utwory Becketta i Jonesa, Brechta i Dürrenmatta, Frischa i Eliota. Uznaniem w oczach autorki zyskały również realizacja sceniczna tych utworów, styl teatralny, fantazja i umiejętności inscenizatorskie i reżyserskie. Po raz pierwszy zdarzyło nam się czytać w artykule cudzoziemca nazwy Parku Łazienkowskiego i Pomarańczarni bez błędu Wyrazysty!



Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH
WYDAWNICTWA
ŁÓDZKIEGO,
O REPERTUARZE
TEATROW
ŁÓDZKICH,
O „ODGŁOSACH”.

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najcenniejsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY”



Z początkiem tego roku w Bieszczadach znowu masowo pojawiły się wilki. W styczniu myśliwi ustrzelili ich 31, gdy w całym roku ubiegłym — 108 sztuk. W tym padłoby zapewne znacznie więcej, ale z powodu wielkich zasp, żadnemu człowiekowi z tuzią nie udało się już dojrzeć w ostępy. Wilki nie zagrażają ludziom, są jednak wielkim niebezpieczeństwem dla niektórych mieszkańców lasu, szczególnie saren i młodego pokolenia żubrów.

Inwazja drapieżników, to nie tylko groźba dla zwierząt, to także, jakby symbol, świadczący, że Bieszczady posiadają nadal ziemię dziką, w niewielkim stopniu opianowaną przez człowieka. Istotnie, zorganizowane życie jak dotychczas dotarło tylko do linii Baligród — Wołkowyja, to znaczy mniej więcej do połowy głębokości masywu Bieszczad. Wszystkie nazwy na mapie poniżej tej linii, wciąż jeszcze są niemal wyłącznie „pojeciami geograficznymi”.

Były to tereny przed wojną jednymi z najgęściej zaludnionych w kraju. Powiat Lesko liczył wówczas 150 tysięcy mieszkańców. Obecnie — 20 tysięcy.

trów od miasta powiatowego Ustrzyki Dolne. Dostali ziemię i po 100 tysięcy złotych pożyczki państwowej. W swoich różnych stronach kupili okazjonalnie domki z prefabrykatów. Cóż z tego, skoro transport domków ze stacji kolejowej

wał 30 procent powierzchni terenu, dzisiaj już 52 procent. Nie trzeba nawet szkoleń i pielęgnacji, ekspansja lasu odbywa się głównie za pomocą tzw. samosiewu.

Myślisz sobie zapewne, Czytelniku: A może w te Bieszczady, kiedyś z konieczności zaludnione najbiedszą biedotą, współczesny człowiek, który choć trochę tykał cywilizacją, rzeczywiście nie zechce się wdzierać? I myślisz jeszcze: Może to i lepiej, bo zostanie w naszym kraju choć jeden — w całym tego słowa znaczeniu — dziki zakątek, raj dla prawdziwej turystyki.

Opinie takie, choć z pozoru nie pozbawione słuszności, są dość mylne. W rozległym terenie Bieszczad gospodarka i turystyka mogą doskonale koegzystować. Są zresztą najwyższe partie gór, gdzie pląg nigdy nie wjedzie i bydeńko nie dojdzie, zarezerwowane wyłącznie dla drwala i wędrowca. Poza tym turystyka potrzebuje bazy, a taką można stworzyć tylko w terenie zagospodarowanym. Minęły przecież czasy odważnych pionierów, którzy z ostojkami obyczajnym żywnością szli w Bieszczady na cały miesiąc i byli zupełnie samowystarczalni. Turcyści „masowi” najchętniej grupują się wokół schronisk, restauracji czy campingów z bieżącą wodą i klozetkiem. Czują się rozczarowani, jeśli tych urządzeń brakuje. Zresztą bez nich nie do pomyslenia jest ujęcie masowego puchu w jakiejś formy organizacji i dyscypliny, bez nich musi nastąpić — i następuje — tragiczna wprost dewastacja przyrody. Piękne polany bieszczadzkie lasów zarastają gęsto krzewy jałowca.

Przekroczony próg mieszkaniowy, zrozumiałem — dialektu. Były więc mede wspaniałe zrobione z prostego drzewa, na polkach „rzęzozy” znalezione w lesie, po prostu kawałki korzeni, którym natura nadała fantastyczne kształty; na ścianie, zamiast kilimu, rozpięta wspaniała wilsza skóra. No, i te rogi jelenie! W ogóle nie wyobrażam sobie, że coś takiego można upolować w Polsce. Można — właśnie w Bieszczadach i tylko tam: długości i rozpiętości ponad półtora metra z licznymi rozgałęzieniami. Ścia chętny w kształcie, doskonały twór przyrody. To, co zwykle spotykamy w leśniczkach, wydaje się wręcz miernym na śladownictwo. Jedno do drugiego ma się jak posąg Wenus z Milo do jej gipsowych figurek.

— Te największe — objaśnił mój rozmówca — wagi 10 i pół kilograma, kwalifikują się do złotego medalu w skali międzynarodowej. Za pozwolenie wywozu podobnego poroża z upolowanego przez siebie jelenia, pewien zagraniczny turysta zapłacił w ubiegłym roku 1500 dolarów.

Tak to właśnie okazało się, że bieszczadzkie lasy kryją również magiczne „dewizy”. Ale co, wspomnianych myśliwych z zagranicy, przywiezionych „na próbę”, zainstalowano w baligródzkim nadleśnictwie, położonym w ładnym i przydomku osiedlu z dala od gór. Rankiem samochód, podwoził ich w las, na upatrzone wcześniej miejsce, strzelali, trafili i... tyle przyjemności.

— Dla myśliwego — mówi mój gospodarz strzał jest tylko ukoronowaniem długich godzin tropienia, nasłuchiwania, wyczekiwania, sam przez się niewiele znaczy. Najważniejszy jest ów kontakt, owe całkowite zespolenie się z przyrodą. Należałoby w odpowiednich miejscach pobudować dla myśliwych specjalne budki, wykorzystując w tym celu choćby zwalone bezużyteczne pniaki. Tam zakładałoby bazy, tam mogłoby nocować, spędzając w lesie kilka dni.

P. Walewski niedawno dopiero, po pięcioletniej przerwie powrócił na swoje sławne w Radzie Narodowej. Te pięć lat spędził w sercu Bieszczad, kierując budową kombinatu drzewnego w Rzepedzi. Dla niego, jak dla wielu zresztą ludzi z tego zakątka kraju, Bieszczady są „paacją życia”. Nie dziwnego, że spotkałem w nim orędownika idealnego założenia bieszczadzkiego parku narodowego. Park ten, według wstępnych koncepcji obejmowałby teren całego południowo-wschodniego cypla Polski, rejon najwyższych szczytów Bieszczad — Tarnicy i Halicza. Nie budowałoby się tam już żadnych dróg ani schronisk, dostęp mieliby rzeczywiście tylko najwytrawniejsi si turyści.

Można chyba wjerzyć, iż pa sja w połączeniu z możliwością decydowania, pozwolił ambilnym ludziom zrealizować swe cele.

BIESZCZADY CIĄGLE MŁODE

w Ustrzykach na miejsce przeznaczenia, kosztował każdego z nich po 30 tysięcy złotych, bo tyle właśnie „zapisał” sobie za usługę Państwowy Ośrodek Maszynowy.

Planowano w latach 1959-63 sprowadzić tu 5.100 rodzin chłopskich. Osiedliło się w końcu — 1215. Przy czym pesymiści twierdzą, że to na razie kres możliwości. Jak do tychczas, całkowicie na wysokości zadania stanęła jedynie służba leśna. Zbudowano ponad setkę leśniczek i gajówek, kilkadziesiąt kilometrów linii kolejki leśnej (uwaga — również atrakcja dla turystów), która znakomicie usprawnia wywóz drewna.

A las, jak to las — pełni się bujnie. W okresie przed wydłużeniem Bieszczad zajmo-

ca. Jak dotychczas najlepszą rozrywką, wymyśloną przez „turystów”, jest podpalanie tych krzewów.

Ten człowiek dziwnie mi nie pasował do scenarii, w której po raz pierwszy go zobaczyłem. Bujna, mocno siwiejąca czupryna, takiz wąs, ostre — jakby góralskie — rysy twarzy, sportowa sylwetka. Spotkał się na korytarzu gigantycznego gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, gdzie p. Tadeusz Walewski kieruje oddziałem planowania przestrzennego.

— Chce pan porozmawiać o Bieszczadach? — zapytał. Tu nie ma nasroju, zapraszam pana po południu do domu.

Problem nie dotyczy zresztą jedynie województwa. Naszym Czytelnikom znane są przecież ogólnokrajowe trudności w tej dziedzinie, które zmuszają nas do poważnego importu zbóż z zagranicy.

W innych produktach natomiast — o czym była już mowa powyżej — Ziemia Łódzka jest więcej niż samowystarczalna. Jak wykazują obliczenia, przeprowadzone na przykładzie lat 1960-61, produkcja ziemniaków, przeznaczonych na spożycie dwukrotnie przekraczała lokalne zapotrzebowanie, warzyw — o 15%, owoców — o 20% (był to jednak rok szczególnego urodzaju), mięsa o 23%, mleka — o 4%, jaj i drobiu — o 23%.

Można w zasadzie przyjąć, że podobnie kształtowała się sytuacja i w innych latach urodzaju.

W zarysowo przedstawionym bilansie XX-lecia rolnictwa województwa łódzkiego podałem tylko niektóre pozycje. Nabiorą one właściwej barwy, jeśli przy porównaniach z dwudziestolecieciem międzywojennym pamiętać będziemy i o tym, że II wojna światowa wyrządziła nie-

powetowane straty i tak krwawo zaniechanemu rolnictwu. Z opublikowanych danych wynika, że wieś polska pozbawiona została wówczas 4 mln sztuk bydła, 5 mln sztuk trzody, 2 mln koni. W tym bilansie okupacyjnych strat poważne były również pozycje woj. łódzkiego.

Odrobinie tych ubytków i osiągnięcie dzisiejszego poziomu nie przyszło łatwo. W warunkach rozdrobnionej, chłopskiej gospodarki trzeba było nie lada wysiłku, by rolnictwu utworzyć drogę do postępu i systematycznego rozwoju. Wysiłek ten podjęły partia i rząd głosząc i konsekwentnie wprowadzając w życie swoją mądrą politykę rolną. Na pełne owoce tej mozolnej pracy musimy jeszcze poczekać.

WIESŁAW BEK

PS. Rozwój rolnictwa w woj. łódzkim w okresie dwudziestolecia był tematem sesji naukowej, zorganizowanej w dniu 7 kwietnia pod patronatem Rolniczej Rady Naukowo-Technicznej przy Prez. Woj. RN w Łodzi. Autor w powyższym artykule skorzystał z danych zawartych w referatach: mgr Wł. Bobrowskiego i mgr W. Musiała.

Od pięciu lat trwa akcja ożywiania najpiękniejszego go bodaj zakątka Polski, z którego wojna zrobiła całkowite pustkowienie. Akcja pochłonęła już setki milionów złotych. Zelektryfikowano nie mał wszystkie zamieszkałe osiedla, zbudowano 17 szkół, kilkanaście placówek służby zdrowia. Piękna zsoza — tzw. obwodnica bieszczadzka, jest dziś atrakcją dla tysięcy zmotoryzowanych turystów i główną arterią tego regionu.

Ala szlak postępuje to nie drabina, po której można wspiąć się do góry. Bywają od szlaku odgałęzienia, prowadzące do nikąd. Oto Państwowe Gospodarstwo Rolne w Czysztoborze koło Komańczy, obrzynie owczarnie, stajnie, obory, spichlerz, domy mieszkalne. Dokładniej — były gos-

podarstwo, zbudowane za kolosalne pieniądze. Stoł porzucony, nie spotkasz tu żywego ducha. Przynosiło deficyt, więc zostało zlikwidowane. Niezbadane są tajniki naszej kalkulacji ekonomicznej.

A opowiadano mi również, że pewien baba z Podhala, który przywędrował ze swymi owieczkami, już po miesiącu pobytu na pastwisku musiał najnoważ samochód ciężarowy, bo inaczej nie wywiozłby tych dwóch i pół tony kilogramów sera, co mu owieczki dały w tak krótkim czasie. Bieszczady — jedno z najbogatszych pastwisk Europy, zdolne wyżywić 120 tysięcy krów. Wyżywią tymczasem tylko 3 tysiące (nie licząc owiec, przywożonych tu z Podhala na wypas sezonowy).

Czterej chłopcy spod Krakowa zdecydowali się osiedlić we wsi Zabrodzie, 8 kilome-

Obrachunki XX-lecia

ŁÓDZKIE ROLNICTWO

Dalszy ciąg
ze str. 1

dołeciu nastąpił trzykrotny wzrost, a w bieżącym prawie... dziesięciokrotny.

Za tak poważne środki przeprowadzono szereg prac o kapitalnym znaczeniu dla rolnictwa.

Szczególne miejsce zajmują tu melioracje. Stosunki wodne uregulowano na obszarze ponad 56 tys. ha gruntów ornych i prawie 37 tys. ha użytków zielonych. Jeśli więc w r. 1946 zmeliorowanych było w województwie 29% gruntów ornych i 16% łąk i pastwisk, to obecnie: 40,4% i 42,1% użytków zielonych.

Wysokie środki pochłonęła także elektryfikacja wsi, bez której postęp w rolnictwie nie byłby możliwy. Tu skala porównawcza do okresu

przedwojennego jest bardzo jaskrawa: zaledwie 8 zelektryfikowanych zagrod na każde 100 w r. 1938 i 51 obecnie.

Czy trzeba dodawać, że światło elektryczne jest nie tylko wykładnikiem postępu technicznego, lecz także miernikiem wzrostu oświaty i kultury?

Oczywiście, na wymienionych pozycjach nie kończy się długa lista inwestycji. Jest na niej także 13 państwowych ośrodków maszynowych, ponad 130 lecznic, przychodni i punktów weterynaryjnych, 130 agronomów itp.

Liczby obecnego stanu posiadania rolnictwa łódzkiego trzeba koniecznie uzupełnić 500-milionowym majątkiem kółek rolniczych, które dysponują już ok. 2 tys. traktorów i ponad 12 tys. maszyn rolniczych.

Tak nowoczesnie wyposażone rolnictwo Ziemi Łódzkiej coraz lepiej wywiązuje się ze swej roli głównego dostawcy artykułów żywnościowych dla prawie 2 mln 400 tys. mieszkańców Łodzi i województwa, a także przemysłu rolno-spożywczego.

„Coraz lepiej” nie oznacza jednak „w pełni”. Produkcja mięsa, mleka i jego przetworów, ziemniaków, warzyw pokrywa zapotrzebowanie i w pewnej części przeznaczana jest także dla odbiorców z innych rejonów kraju (przede wszystkim Śląska) i na eksport. Nieco inaczej wygląda to pod względem produkcji zbóż. Tu potrzebny zaspokajane są tylko częściowo. I tak na przykład zbiory pszenicy w r. 1961 wystarczyły zaledwie dla samego województwa. Łódź natomiast otrzymała potrzebne ilości z innych regionów.

Sporo się w prasie pisało o budowie wielkiej zapory wodnej na Sanie koło Soliny. Ostatnio ja-koś ucichło. A szkoda, bo właśnie teraz sprawa zaczyna nabierać interesujących kształtów. W wojewódzkiej pracowni urbanistycznej w Rzeszowie inż. Jadwiga Koziołkiewicz i inż. Adam Stafiej zakończyli właśnie opracowywanie planu zagospodarowania turystycznego rejonu Soliny.

Trzeba wspomnieć, że jezioro, które zacznie powstawać w roku 1967, po zamknięciu zapory, będzie drugim co do wielkości sztucznym zbiornikiem wodnym w Polsce, o powierzchni ponad 27 kilometrów kwadratowych. I będzie, bez wątpienia jeziorem najpiękniejszym. Woda rozleje się w dolinie, między stromymi, gęsto zalesionymi zboczami, wytworzą się dwie wielkie odnogi, sięgające po kilkanaście kilometrów w głąb gór. Wątpliwe, czy natura sama potrafiłaby uformować tak urozmaiconą linię brzegów.

Moi informatorzy „zastrzeżeni” mnie z miejsca pierwszą wiadomością: Założenia do projektu przewidywały, że Solina stanie się miejscem wypoczynku dla 300 tysięcy ludzi w ciągu roku. Ale nam, po przeprowadzeniu badań terenowych i kalkulacji, ta liczba wydaje się grubo zanizana.

Jak widać, gra jest warta świeczki.

Potem długo studiowałem różne mapy rejonu przyszłej wielkiej wody. Zaznaczono na nich wszystko co trzeba, więc:

- kąpieliska — w miejscach gdzie dno łagodnie opada,
- plaże na piaszczystych skrawkach brzegu,
- przystanie wodne, biorąc pod uwagę dogodny dostęp od strony jeziora,
- szlaki kajakowe i tory regatowe,
- rejon najlepiej nadający się dla „gęstej” zabudowy domami wezrasowymi i punketki na schroniska turystyczne w dzikich zakątkach, a nawet
- najpiękniejsze trasy wędrówek pieszych wokół jeziora.

Czy ta szansa zostanie wykorzystana, czy piękne projekty uda się zrealizować? Istnieją pewne przesłanki optymizmu. Już na przykład, rozpoczęto budowę jednej z dróg, przewidzianych projektem. Dzięki niej, latem bieżącego roku zachodni brzeg przyszłego jeziora uzyska połączenie z „obwodnicą” bieszczadzką. Wcześniej położono drogę do samej zapory, bez niej byłby niemożliwy transport materiałów budowlanych. Ale i ona w przyszłości przejmie rolę turystyczną.

Przystępując do budowy, należało zapewnić locum zadłże licząc ponad tysiąc osób. Zdecydowano się nie stawiać prowizorycznych baraków, lecz od razu — solidne hotele. Odejdą robotnicy, przybędą turyści. Obrótke kierownictwo fabryki „Gamrat” z Jasła skorzystało z okazji i dołożyło kilkaset tysięcy złotych, kupując jeden z hoteli — rzeć można — na polu.

Interesują się Soliną również inne zakłady i instytucje, które chciałyby tu przysłać swoich pracowników po zdrowie i wypocinek. „Przyjeżdżają do nas różni ludzie — powiada inż. Stafiej — zabieramy ich w teren i objaśniamy; tu właśnie będzie granica zalewu, pięćdziesiąt metrów wyżej — wymarzone miejsce na wasz pensjonat. Ale jakoś to nie trafia im do wyobraźni. Gorączka zaczęła się chyba dopiero wówczas, gdy jezioro powstało. Tyle, że wtedy mo że być za późno, bo inni wyprzedzą”.

W stałym kontakcie z projektantami pozostaje dyrektor budowy zapory, poseł na Sejm — inż. Michał Chwiej. W komisji sejmowej, której jest członkiem, ma on zamiar przedstawić plany urbanistów, by w ten sposób spopularyzować Solinę, a może nawet przyczynić się do nadania planom mocy obowiązującej.

Wiele wskazuje, że „bieszczadzkie morze” zostanie zagospodarowane rozsądnie i z pożytkiem dla setek tysięcy amatorów turystyki.

Bieszczady długo jeszcze będą fascynować. Działają gospodarzy — możliwości wykorzystania bogaictw ukrytych w tej ziemi, innych — szansa spolkania ze wspaniałą przyrodą w gorącym letnim stożku.

JULIAN BRYSZ



EWA OSTROWSKA

1.

Rozprawa przy drzwiach zamkniętych. Kobieta zostaje przed drzwiami. — To mój jedyny. Nie mam nikogo poza nim. Mąż umarł, jak on był małeńki. Ale nie zabrakło mu niczego. Żyli sobie wyprutym, popatrzyli ludzie, jak ja wyglądam. A taka stara przecież jeszcze nie jestem. On mój jedyny, ja sama, nikogo poza nim. Mój syn. On dobry. On tego nie mógł zrobić. Prawda, że wyglądam porządnie? I taki ładny. Ach, jak ubierze się w ładną koszulkę, ach jaki on śliczny. To nie jego wina, on zawsze miał powodzenie. Dziewczyny go popsuły. Teraz nie ma uczciwych dziewcząt. Często słyszałam, jak o nich opowiadał. I słusznie. Trzymał dystans. Mój syn. On ma dobre serce. Jego koleżdy popsuły. Tyle razy mu mówiłam: zerwij z nimi. Przychodzili do nas, nóg nie wycierali, na podłogę piuli, pili wino, palił papierosy. Sześciu. Oberwańce. Ostrzegalam — wpakuj cię w kabatek. Nie usłuchał. Dlaczego nie posłuchał matki? Przecież ja wszystko dla niego... Pensję mu wypłacałam każdego tygodnia, taki duży chłopak, musi mieć na swoje wydatki. A ja sama, często o suchym chlebie. Jadłam, już jadłam, nie martw się, synekku. Cztery ubrania miał, wszystkie szyte na miarę, z gabardyny. Kupnego on by nie włożył. On ma smak. I szyk. Widać, prawda? Jak on ładnie chodził, jak się ruszał... Trzy garnitury sprzedał i pojechał na wakacje. Dałabym mu, dlaczego nie poprosił? To ci jego koleżdy go namówili. Utrzymywał ich na tych wakacjach. Dostał wtedy poprawczak za pobicie. Ale to jego napadli, on by nikogo nie uderzył. To pomyłka, tłumaczyłam. Ale nie. Uwzięli się na niego. Tak samo, jak w szkole. Taki jest zdolny, a wyrzucano go ze szkoły. W szóstej klasie. Od tamtej pory przeżył wstrząs psychiczny, ledwie szkołę skończył i już dalej uczyć się nie chciał. A wszystko dlatego, że ludzie są źli. Co ja się napiakalam, co naprosiłam, żeby poszedł do liceum. Nie chciał. Nawet mu się trudno dziwić — po takiej niesprawiedliwości? Ale plany na przyszłość to on miał. Motor chciał sobie kupić. Mój Boże, za mało zarabiam. Ale już trochę odłożyłam na ten jego motor. A teraz znowu, ten straszny wypadek... Ach, i dlaczego ci koledzy się do niego przycepił? On taki nałwany, stawiał im, pieniądze pozwa-

lać wyludzać. Pięć go nauczyli. Ten Szczupak, to on nie ma żadnego wychowania. Matka i ojciec piją. Ten Kazek, blondyn, nie ma ojca, a matka źle się prowadzi. Wiem. Wiem, bo syn mi opowiadał. Poszłam nawet do tej kobiety, powiedziała, że ja sobie nie życzę, aby mój syn z jej bekartem przestawał. Powiedziała: to niech pani pilnuje swego sześcioletka, ja nie niania. Na nieletniego, to ten panty synalek nie wygląda. Wódę mi całą wylópał, mieszkanie zapaskudził — cwaniak z niego, chojtrak. — Mój syn? Taki czystutki, koszulę na raz tylko zało-

PROCES PRZY DRZWIACH ZAMKNIĘTYCH

ży, więcej nie; i on by miał do jej mieszkania przyjść, w którym brudniej niż w chlewie? Takich to on miał kolegów. To przez nich. Ale mój syn — niewinny. Ja wzięłam dobrego adwokata, ja zapłacę każdą cenę, ja nie pozwolę, ja wszystkim udowodnię, jaki jest mój syn. To ta banda, i ta dziewczyna bez wstydu są wina. Bez wstydu — żeby po sądach włóczyły. Gdyby mnie coś takiego spotkało, schowałabym się do mysiej dziury, nie śmiałabym uczciwym ludziom ręki podać ani w oczy spojrzeć, zabiłabym się, ale nie to, żeby jeszcze swój wstyd publicznie obnosić! To taką trzeba ukarać. Taką dopaść. Ja bym taką...

Matczyna miłość. Tak wygląda twarz matczyny miłości: zmarszczki wokół ust tężeją, kiedy patrzy na szesnastoletnią. Oczy zawężają się do cieniutkich szparek.

Szparki są jak noże, jak sztylce. Zmarszczki pogodnieją, rozciągają się w dobrotliwym uśmiechu dumy i zadowolenia, kiedy mówi o tym, jak pięknie wygląda jej syn w białej koszuli i garniturze z gabardyny. Zmarszczki posepnieją, kiedy mówi o tym, jaki jej syn był dla niej dobry i jak ją szanował. Zmarszczki drgają, kiedy mówi o tym, jak jej syn bardzo chciał mieć motor. Zmarszczki wykrzywiają się pogardliwie, kiedy mówi o tym, jak to nauczyciele zawzięli się na jej syna. I znowu tężeją, wyżarte od niepokojów i od nienawiści.

Świadek proszony na salę — wywołuje protokolantka szesnastoletnią. Tlum napiera na drzwi. Szesnastoletnia chroni głowę między ramionami, staje się jeszcze mniejsza i jeszcze drobniejsza. Plecy pod naporem spojrzeń wyginają się w brzemienne łuk.

Na taką nie ma wstydu — syczy głos matki. Innej matki. Matka szesnastoletniej wciska się w kąkorytarza.

2.

Szesnastoletnia jest drobna, szczupła. Nie widać jej twarzy. Widać jedynie plecy. Są pochylone, wygięte ciężko. Stare. Na ławie, pod oknem, siedzi ich czterech. Pierwszy, najstarszy, ma teraz osiemnaście lat i niskie, cofnięte czoło. Karany za pobicie. W oczach strach. Tego strachu nie umie ukryć — oczy mu latają. Drugi, blondynek, uśmiecha się — trudno stwierdzić, czy cynicznie, za dużą odległość w czasie zeznań szesnastoletniej. Sam ma lat niewiele więcej. Wygląda najwyżej na siedemnaście. Trzeci — jakby się nudził. Patrzy w sufit. Czwarty ma głowę spuszczoną. Wszyscy czterej mają ukończonych po siedem klas, nie pracują nigdzie. Nie uczą się, są na utrzymaniu rodziców. Poza tym strachem, który wylaży z rozbieganych oczu pierwszego, i poza jakimś oznakami wyrzutów sumienia, których można się domyślić po opuszczonej głowie czwartego, nie widać w nich, w tych czterech, żadnych wrzuseń, żadnego uczucia: mają jeszcze trochę czasu do wyroku. Mają też swoich obrońców.

— Czy świadek krzychała? Wzywała pomocy?

Milczenie. Plecy kurczą się.

— Niech świadek odpowie.

Po długiej chwili: Nie krzychałam. Broniałam się tylko. Odpychałam.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań. — Mecenas skłania kurtuazyjnie głowę.

Więc może linia obrony potoczy się właśnie w tym kierunku: nie krzychała. Jeżeli nie krzychała, to znaczy, że dobrowolnie. Jeżeli dobrowolnie — oskarżeni są niewinni. „Sprawa jest dosyć trudna z racji braku dowodów. Ciekawym, jak będzie oskarżał prokurator?” — w przerwie mówi mecenas. I dodaje: „A obiekt wcale nieciekawym. Dzięwię się chłopakom...”

Szesnastoletnia nie wie, że jest tylko „obiektem”. Plecy jej drgają. Place. Ten pierwszy, na ławie pod oknem, jakby się uspokoił po ostatnim pytaniu swego mecenasa. Zdaje się, że to chłopak dość inteligentny. Ten drugi, blondynek, uśmiecha się znowu. Tym razem — nawet z tej odległości widać, że cynicznie. Ten trzeci patrzy w sufit. Nudzi się. Ten czwarty podniósł głowę. Po ostatnim pytaniu mecenasa nie musi już trzymać jej opuszczonej.

3.

Upatrzyli nareszcie sobie te dwie. Zaczęły iść szybko. Ale takim jak Cherubin stawiać się nie wolno. No, koleżdy! — rzucił. Otoczyli więc dziewczynę. Cherubin złapał jedną za przegub. Zaczęła się szarpać. — Koleżanki, nie tak ostro. I wyrwał jej z ręki torebkę.

Oddam ci torebkę, jak się ze mną umówisz. Ale harda. Oddam ci torebkę, ale odprowadzę cię do domu. No, koleżanko. Na grzeczności się nie znasz? Bo może nas być więcej. Nie ciskaj się, złościutka.

BRZEGI PIERWOTNOŚCI

Boles jest widowiskiem. W pierwszym rzędzie — widowiskiem. Jest również aktem kompensacji. Tak jak aktem kompensacji jest każdy sportowy spektakl. Czasem dla zawodników. Przede wszystkim dla nas. Widzów, zwykłych, powszednich widzów. Identyfikujemy się. Z aktorem widowiska. Biegniemy, łapiemy piłkę, zadajemy ciosy i odbieramy ciosy, nie ruszając się z miejsca. Identyfikujemy się. Ponieważ jesteśmy gorsi pod jakimś tam względem. Ponieważ wiemy o tym. Ponieważ chcemy być lepsi niż jesteśmy. Więc sztukujemy swoją „gorzoność”. Niewiele tu trzeba. Wystarczy krzyknąć wyobraźni.

Boles jest widowiskiem. Widowisko bokserkie odsłania nas. Odsłania nas każde widowisko. Każdy grymas, każdy gest, każde słowo. Mówi, kim jesteśmy. Oczywiście, nie wprost, nie bezpośrednio. Ale boksi, boksi odsłania to, co zatajone, zagrzebane, ukryte. Przed innymi. Tylko przed innymi? Przed samym sobą.

Widowisko bokserkie angażuje. Wejaga. Bardziej niż bieg sprinterski i bardziej niż pchnięcie kulą. „Wchodzimy” w widowisko. Dzieje się ono tam — pośród lin, w prostokącie ringu. Bierzymy w nim udział. Jesteśmy współaktorami. Pęka to, co dzieje się od widowiska. Co pozwala zachować dystans. Pęka izolacja. Zacięra się granica pomiędzy mną, który siedzę na widowni a nim, który jest na scenie. I wówczas... Wówczas zmieniają się kontury świata. Świat jest prosty, łatwy, skurczony do moich emocji. Skrojony na ich miarę. Walczą. Atakują. Łapią przeciwnika przy linach. Odechła się teraz. Uskakuje na bok. Nie ucieknie. Nie ucieknie! Spycham go do narożnika. Widzę przed sobą. Chcę mnie skontrolować. Nie skontroluje. To zły człowiek. To bardzo zły człowiek. Trafiam go. Raz, drugi. To nie ja trafiam. Nie mam przecież bokserskich rękawic. Ani krótkich spodenek. Trafia ktoś inny. Ale ktoś inny jest mną, mną samym. Uderza, znowu uderza. Przeciwnik się chwyci. Mój przeciwnik... Trzeba go jeszcze raz uderzyć. By upadł. By nie podniósł się już więcej. Teraz, właśnie teraz. Zrywam się z miejsca. Nie wiem o tym. Niczego już nie wiem. Krzyczę. Krzyczę: — Zabij go. Zabij. Zapomnę o tym. Muszę zapomnieć. To przykre, kompromitujące. To, co krzychałam. To kolduje z portretem, jaki sporządziłem sam dla siebie. Nie chciałem wyrzucić portretu. To niewdzięczne zmieniać swój portret. Zastępować go innym. Zresztą, ten portret... Na portrecie jestem człowiekiem łagodnym i w gruncie rzeczy poczciwym. Oczywiście, nieudającym. Nie każdy rodzi się pod szczęśliwą gwiazdą. Ale przepadam za dziećmi. I kocham bliźnich. Nie wszystkich. To prawda, są tu wyjątki. Nie znoszę Pawła. I nie cierpię Jerzego. Ale to przecież kanale. Zwykle, ordynarne kanale. Jestem więc usprawiedliwiony. Poza tym jednak... Pewnie, nie mam gołębiego serca. Zawsze jednak dobro, moralne dobro, przyświecało moim uczynom. Nie bodec tedy pocztowcem dickensowskiej prowincji, jestem człowiekiem zycznym, uczciwym człowiekiem. Może „zycznym” to złe słowo, w każdym jednak razie nie chciałem nikomu sprawić cierpienia. Zwłaszcza zaś tym, których nie znam. A jednak krzychałam... Paskudna historia. Zapomnieć. Czym prędzej zapomnieć. Wyrzucić ze świadomości. Krzychałam... Chwilowe uniesienie, do czego może doprowadzić chwilowe uniesienie? Jakież zgubne skutki potrafi na nas ścignąć. Krzychałam za sprawą przypadku. Mogłem krzychać coś innego. To zbieg okoliczności, rzecz akcydentalna. A może wydawało mi się tylko? Inni krzycheł obok mnie, i ja... Krzychałem, „Zabij go. Zabij”. Chciałem tego. Kochałem brutalność. Pożądałem brutalności. Niczego nie pożądałem tak bardzo. Jak sily użyte przeciw drugiemu człowiekowi. Bez względu na to, kim by był. Nie znalazłem drugiego człowieka. Nie widziałem go przedtem. Ale chciałem, by cierpiał. By odczuł przemoc. Poznał smak przemozy. By zachłystał się nią, tak jak ja się nią zachłystałem. Pierwotności... Rozkoszna, oszalała pierwotność... Stumiona, zepchnięta na dno świadomości. Topiona przez cywilizację. Hamowana przez cywilizację. Widowisko bokserkie przywraca ją nam. Restytuuje. Możemy jej doświadczyć. Mamy okazję. Widowisko bokserkie jest przecież podróżą. Podróżą w stronę pierwotności. Jest aktem kompensacji. Impulsów, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy. Jest szansa raptownego ich objawienia. Oto nagle wymykają się spod naszej kontroli. Są w nas. Są nam. Krzyczą poprzez nasze gardła. Widowisko bokserkie odsłania, kim jesteśmy podszyci. Odsłania naszą autentyczność. Jest stymulacją tego, co niejasne. Co schowane przed każdym. Co pokryte cywilizacyjnym połosem. Kompensuje naszą agresywność. Przenosi ją w zmysłową sferę. Rozstrzyga pośród fikcji. Bo utożsamienie jest fikcją. Jest upiorem podkleszczonej wyobraźni. Potem wracamy do domów. Idziemy powoli. Zatrzymujemy się przed drzwiami naszych mieszkań. Szukamy kluczy. Jesteśmy zmęczeni. Wracamy do domów. Wracamy z daleka. Z podróży. Ku brzegom pierwotności.

Punch

Było ich czterech. Na ulicy wstyd się szarpać z chłopakami. Oddaj torebkę. Oddam, jak Boga, kocham, że oddam.

Szesnastoletnia, aby dojść do domu, musiała przejść przez park. Tak było krócej. Pójdziemy przez park — zarządził Cherubin. — Oddaj torebkę. No, nie bądź głupia, czego się boisz? Widzisz, mamy posiłki. — Nie krzyż węc, perełko. Koleżdy, zajmijcie się drugą.

Ta druga dziewczyna niewiele widziała. Trzymała ją blisko pół godziny w kółeczku. Szesnastoletnia odprowadziła tamtych czterech dalej.

Chodźcie teraz wy, — przywołał któryś z tamtych czterech. Chwila nieuwagi — dziewczyna uciekła. W dziesięć minut potem przyszyła z milicjantem, którego sprowadziła na pomoc koleżance. Przy szesnastoletniej nie było już nikogo.

4.

Teraz ona tu stoi, przed tym długim stołem, przed tymi ludźmi w poważnych, dostojnych togach, i przed tą ścianą acetylną i surową. Przed prawem. Przed sprawiedliwością. W imieniu prawa i sprawiedliwości przyszyła tu ze swoją krzywdą. Oczekuje więc prawa i sprawiedliwości. Bo gdzie i kto może jej spełnić? Tamta matka, która za drzwiami sali rozpraw gryzie palce z miłości do syna, a oczy zaciska w wąskie szpareczki nienawiści na myśl

Cyjanista Znotatnika CZERNIK WISLANSKIEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

gowskaj. Poczekalanka. Obok zezarza's
lawy i stoly dla turystow. Po dlugich
miesiacach zimy jak widmowe wystuki
czegoz minionego. Mostek. W poblizu szko-
la, tak cicha jakby nie nalezala do szkól.
Ale naprawde szkoła. Wlasnie wychodzi
z niej troje—czworo dzieci. Ciche sa jak
ta ustronna uczelnia. Jeszcze dalej —
gazdostwo, dom czarny, szopa, wóz. Ani
czlowieka, ani glosu. Wznosi sie tylko nad
okolice lekki szum strumienia jednego i
drugiego, a potem obydwóch w jednym,
polaczonych. Ten szum przypomina mi po-
brzeki cykad w krajach poludniowych.
Las. Wzgórza. Asfaltowa droga do zam-
eczku, spelniajacego jeszcze jakies feudal-
ne zadania. Ale to wszystko jest tylko ko-
niecny lub niekonieczny tem dla mi-
stycznego dzwieku wody. I tyle znaczy, co
plusk pstragów nieslyszalny przy szumie.
Mistyczny? Wyklinany wyraz. A jednak...
Jak dla kogo! Wlasnie pewna mistycznosc
miejsca przyciaga mnie tutaj. Znaczenie,
waga polaczenia dwóch strumieni. Wplyw
tworczy tej przyrody odwiedznej. Bez niej
zapewne nie byloby takiej krajiny, jaka
jest. I narodu. I panstwa. I to, co malo
wazne, ale przeciez dla mnie nie bez zna-
czenia: bez niej nie byloby i mnie.

6 maja

Chata górska. Czarna — od przyciesi
do szczytu. Szereblate, jakby okopane bel-
ki, i gonty na dachu, i futryny okien,
i drzwi. A nawet okienka obramowane
czernia wydaja sie zlozone z ciemnych ta-
felek. I tylko ubogi kwiatusek zaloznie
dotyka szybki czerwonym paskiem. Jakby
barwna kropelka męki tego czarnego, sta-
rego domu.

Jest tak stary, ze zostala zena tylko po-
lowa. Druga — w rumowisku. Jeszcze tu
i ówdzie zwisa belka, a wlasnie trup
belki tak sprzynalaj, ze nie wiadomo, ja-
kim jeszcze zachowal sie sposobem, nie
zdadni do niczego, nie wart juz nawet
paleniska. Jak nazwac te martwa polo-
we? — ani stól, ani lezy, jak rzecz nie
z tego swiata. W takich warunkach pow-
stawaly zapewne pojecia upiowów.

Ale bardziej mi chodzilo o inne rumowi-
sko. Pod sciana upadajacej chaty lezy
zwal cegiel, blok wystarczajacy do wpra-
wienia kilku, a moze wszystkich scian
rozlaczajacego sie domostwa. Zgromadzily go
czyjś zabieg, jakis na pewno trudny,
ogromny wysilek. Wynik wielu lat pracy
i oszczednosci biedaka. I wreszcie — ra-
dosć koncowca: piramida cegiel czekajaca
na wapno i kielnie!

Można rozpoznac: piramida lezy ze
dwadzieścia lat. Zestarzala sie. Deszeze
i smęgi nadzarly ja, krusza sie boki, niszczy
sie wierzch, nie chyba nie chroni
wnetrza od stopniowego rozpadu. Rumowi-
sko beznadziejnie, daremne. Czyż wysilek,
nie byle jaka ofiara nędzarza nie zdala sie
na nic. Juz z tego zmarnowanego bloku
cegiel nie powstanie nowy dom. Stary w
polowie umarl, w reszcie umrze jutro lub
pojutrze, zalazek nowego nie wytrzyma
trudów „zycia“.

Jak to sie stalo? Dzieje tu zbyteczne.
Nie chodzilo o szczegoly trudu i zawodu
Plotra, Jana, Anny czy Katarzyny. Kto-
kolwiek tu zyl i pracowal w kregu oby-
dwu rumowisk, byl męczennikiem. Losu,
przypadku.

7 maja

Pólka na stokach gór, pagórz, wzgórz.
Kamieniste, pełne ciagle dobywajacej sie
skruszonej skaly. Jakby nie tylko zboze
rodzila tu gleba. Jakby zasiewaly sie sa-
me, rosly i rozmnazaly sie kamienie.

A tu wiosna — powiedziec: zielona, to
za duzo i za malo. Pierwsze zazielenianie
sie trawek, chwastow, zbóz, listków na
krzewach, jakies osobliwe dzieciństwo zie-
leni, która wprawdzie jeszcze nie jest cal-
kowicie zielonością, ale ma mistyczna nie-
lako przewage (duchowa — chcialoby sie
powiedziec) nad swa przyszloscia w posta-
ci dojrzalego zieleństwa niemal okrutnego
w tezyznie fizycznej.

Zazielenione kamieniste poletko górskie,
z lekkiej oddali jak laka splywajaca la-
godnie ku dolowi. Babula na półku. Po-
dobna do starej czapli, która wyszla na
ostatnie lowy. Bo tez i ona lowi. Co chwila
schyla sie, podnosi zdobycz i rzuca do
koszyka. Skladnie to idzie, bo jest co zbierac
— co krok, co krok. Pewnie juz od sie-
demdziesieciu lat, rok po roku, przepro-
wadza taka wędrowke lowiecka. Wlasnie
doszla do skraju pola i wyrzucila z ko-
szyka zdobycz. Lekki odzew kopczyka ka-
mieniami wśród tarniny. Jakby gluche zapro-
szenie: daj jeszcze, daj. Babula niestrudze-
nie zbiera dalej, napelnia koblakto. Hez
tego powyzybierala od lat, babulo uparta?
Z twolch kamieni wymoszczono drozynie,
zbudowano murek, ukladano wzmacnienie
pod przycies. Niejeden wóz napelnial. A
pole? Cagle kamieniste. Tak byto od wie-
ków. Twoie praprababki nawsuwaly tu ka-
mieniami bez miary. Caga skale wyniosly, wy-
rabaly, wyrzucily. Pólko chyba mniej ka-
mieniste niz bylo przed twoim przyjsciem
na swiat górska cagle mloda w pracy.
Wlasnie mamroczech jakby pacierz mlodo-
sci:

— Mój wnuk juz bedzie mial mniej ka-
mieniu do uprzatnięcia.

8 maja

Lubie drogi zelazne, linie szyn w ich
przekajacej równoleglosci. Prostota ukladu
chyba tylko w momencie powstawania
utrzymuje charakter sztuczności, potem
przybiera niemal naturalna postac — w
moich oczach, poprzez moje odczuwanie.
Dzieło czlowieka przekształca sie w dzie-
ło natury, wprawdzie wtórne, ale dazace
do pierwotkowego. Deszeze, mrozy, upa-
ly sprzyjaja tej ewolucji. Ale nie chodzi
o to, by stalo sie pełna natura, bo wtedy
bylaby śmierć drogi. Chodzi o niektóre
elementy piękna w mojej jedynie, a więc
swoistej, interpretacji. Roślina wydobywa-
jaca sie spod zelaznego toru, wzrastajaca
upornym trudem w kamienne podloze, obok
kropka czarnego smaru — to wspanialy
akt-obraz zycia, okrutnego i twórczego
związku przyrody i techniki.

To jeden moment myśli. Odrzucam ja
i rzucam wzrokiem — to w jedna, to w
druga strone toru, w przód, az do „bystre-
go“ wiaduktu-bramy ku zludnej nieskoń-
czonosci, to w tyl, gdzie skretem weza
droga potwierdza prawa walki o przostli-
nijnosc i zaprzecza im równocześnie.

Tu latwiej rzucac mysla i odbierac ja
w locie powrotnym. Las. Rzeka. Pagórek.
Pole. Szosa. I tor, który w tej chwili stal
sie osia laczajaca tyle różnorodnych swia-
tów.

Wkrótce zalomocze pociąg. Slychac go.
Kukułka kuka w olszynie. Przebiega —
mysl ludzka w jednej ze swoich doskonals-
szych form. Przebiegl. I znów kukułka za-
kukala w olszynie.

Jakies tworze uzupełnianie sie zjawisk.
Dla mnie, w moim odczuciu. Warte mo-
mentu zadumy.

9 maja

6%. Taki udzial „mojego czasu“ w dzie-
jach narodu? Nie mój udzial, gdyż ten
wielowielokrotnie mniejszy, raczej niezau-
ważalny, lecz udzial czasu, w którym ży-
lem. A chociaz w tym „udziale czasu“ by-
lem „milionowy“ pyłkiem, juz przez to sa-
mo ze bylem, uczestniczyłem, przetrwalem
przez ten ciag dziejów, który wyraża sie
przez 6%, odczuwam pewna wartosc tej
liczby, odczuwam jakby „cos“ z mojej za-
slugi w tych 6%.

Gdy sobie uswiadamiam ten moment,
inaczej ksztaltuje sie mój stosunek do
przeslosci — ogólnej i osobistej. To prze-
ciez nie jest tak malo, jakby sie niekie-
dy moglo wydawac. Jeszcze frocz (w ma-
rzeniach) a mialoby sie 10% udzialu. To
nagminne marzenie ogólne: sto lat. A sto
lat, to jednak znaczny okres czasu w dzie-
jach. Ale i 6% nie do pogardzenia. Czuję
sie tym stwierdzeniem podniesiony, po-
krzepiony, wzbogacony. Inaczej patrzę
wstecz — na swoje zycie i na dzieje ogól-
ne. I inaczej oceniam to, co mi jeszcze zo-
stalo. Jako droznie, wartosciowsze. Inny
uklad proporcji. I to mnie wzmacnia i zo-
bowiazuje.

10 maja

Szesć milionów zabitych mieszkanców
ziemi polskiej. Co piaty. Bilans wojny.
A ja? Uratowany, to wazne, i nieraz
myslac o tym uwazam za nadzwyczajne.
Los. Ale wazniejsza, wielokroć wazniejsza
dla mnie jest inna wiedza. W okresie rzezi
nikogo nie zabilem, nikogo nie zranilem.
I wiecej: nikogo nie chcialem zablic.
Nawet mysla nikogo nie zabijalem, nawet
we śnie. Pytam — co by sie z mną stalo,
gdybym zabil, jakó żołnierz. W bitwie,
w obronie wlasnej? Co by sie ze mną
stalo?



11 maja

Niepogoda. Zamiast przechadzki nad
brzegami Wisly — wycieczka do... cyber-
netyki. Nieprzyjemna, Fantastyczna. Biedna
— w takim zakresie, na jaki stac wyobra-
znie.

Moge wiec kiedys „zmarlychwstac“. Ja-
kis mózg elektronowy w przyszlosci stwier-
dzi, ze nie „dokończyłem mych dzieł, i nikt
inny dokończyć ich nie zdola. Nastapi de-
cyzja: wskrzesić do nieprzyrodzonego,
szlucznego zycia, by wypełnilo sie to, co
jako żywy czlowiek mógł być wypełnić,
a przypadek i śmierć przeszkodzila. Pow-
stane wiec, jako stary a nowy, ten sam
a inny, żywy a martwy. Bedę podobny
do maszyn do pisania, do „elektroluksu“,
rakiety, czy ja wiem? Z metalu, a moze
z tworzywa sztucznego? Bedę piękniejszy?
Lepszy? Nie wiem. Zapewne precyzyjnij-
szy, dokladniejszy, pracowitszy, wytrwal-
szy.

Aż wykonam, co mialbym wykonac.
I znów decyzja mózgu-wladcy obróca mnie
w nicosc, rozloza twór cybernetyczny mo-
ze na jakies pyty lub plyny. Oto i „zmar-
tychwstanie“...

Sprzeciwic sie takim torturom? Jak?

12 maja

Zadzroszcze bezimiennym pisarzem śred-
nowiecznym, bezimiennym poetom ludo-
wym. Stworzyl, co mogli, dla siebie lub
dla innych, odeszli i odpoczywaja w po-
koju. Nikt nie wyciaga ich z grobu, nie
przypomina i nie upomina, nie slawi, ale
i nie upokarza. Nikt nie moze plotkowac
o ich zyciu, odrazowywac, sadić, wyro-
kowac, niszczyć, zabijac. Straszne jest tor-
turowanie, jakiemu poddajemy naszych
poprzednikow. Pastwienie sie, które przy-
pomina czynnosci robactwa. Nawet gdy
zaczynala sie zer, gdy uwielbiala sie „doby
positek“. Za nie mi taka slawa! Dlatego
zadzroszczę bezimiennym twórcom.

13 maja

Oto namiot przed zimnem i deszczem!
staropolska poezja. Czytam dzieje cacy. A
wieczorem na marginesie drugiej lektury
taka króciutka notatka:

„Dzień on, dzień gniewu Pańskiego“ —
w pełnej powadze biblijnej przenikal do
poezji polskiej, majestatycznie, monumen-
talnie, ale ta pomnikowosc z obcego gla-
zu, nie z wlasnego kruszcu, nie wlasnym
rylciem czy dółem zrobiona. Mimo polskich
wyrazów lacińskim pozostal „dzień on,
dzień gniewu Pańskiego“.

Byl jednak twórca, który tresć jego pró-
bowal oddac po polsku, realiami swoj-
skiej wyobraźni, słownictwem i pojeciami
ludu. Najlepszy to przekladowca, gdy mó-
wi:

Straszliwy to czas będzie, czas gniewu
srogiego,
Dzień gorczyce i czosnku, dzień chrzanu
gorzkiego.

Anonimowy autor utworu z XVII wieku
(1624 r.) „Nedza z Bieda z Polski idą“ slo-
wa te wlozyl w usta Szatana.

14 maja

Czytam Roksolanki. Ogarnia mnie szcze-
ry podziw dla tego chłopca-poety, który
umierajac pisal rytmy weselne dla „uko-
chanych oblubienicow“, brata Bartlomieja
i jego narzeczonej. Jakaż rezygnacja, ileż
opanowania, by wiednaca reką kreślić pio-
senki miłosne o wiecu różanym, a niekto-
re (moze dawniejsze) nawet z humorem.
Cudny smutek w tym wyznaniu, które na-

tezy do najpiękniejszych (bo i najpraw-
dzyszych) w naszej poezji:

Ja zaś cichucho wiedz, jako letnie
siano
Letnie? zastanawiam się. Nie poprawiam,
ale chyba bardzo wiosenne to siano, dwa-
dziestoletni poeta.

15 maja

Oto jeszcze jedna notatka, wyprowadzo-
na z deszczu i poezji staropolskiej.

Siadał, słońce! Zdawałoby się, że jest to
dziwaczne wyrażenie z kregu futurystycz-
nej poezji. Nie. Zwrot tradycyjny, staro-
polski, ludowy. Niegdyś pospolity, dziś za-
pomniany aż do niezrozumienia. Dziś już
zmuszamy się do pojnowania jego perso-
nifikacyjnych wlasności, chociaz nie XVII
wieku proste i nie budzilo wątpliwosci,
Klonowic we Flisie mowi:

I rzek najwiecej wpada z prawej strony,
Które prą Wisła na tamte zagony,
Na lewą rękę w te sie grunty wkrada,
Gdzie słońce siada.

Wprowadzil je Szymonowic do sielanki
Pomarlicka:

A teraz tu przenocuj ze mną: już też
siada

Słoneczko i na trawy chłodne rosa pada.

Dziś raczej nam się nie podoba, a to rzecz
smaku. Dziś wydaje się bodajże prostackie;
a jest tylko proste jak odpoczynek czło-
wieka po calodiennej drodze.

23 maja

Znalazłem tu przyklad drogi korzeniastej,
pamietnej z czasow mlodości (i z lektur
Zeromskiego).

Droga korzenista — trudna droga przez
las. Lamia sie na niej kola, rozstrajaja
wozy, stekaja konie, klna ludzie.

Ciezska droga.

A jednak — mila ta droga sprzed pół
wieku, droga mlodości.

Teżnie do niej, chcialbym jeszcze choc
raz trzasac sie na jej korzenistych wygi-
bach, zapadac w przepasie „dolow“, prze-
żyć godzinny drobny deszcz jesienno-
— w „bondzie“ szorstkiej i cieplej, i sku-
chać pokrzepiajacego slowa woźnicy „juz,
juz niedaleczko, chyba ze dwie godziny“.

Ale — na prawie przeciwnost — przy-
pomina sie takze inna droga — również
leśna, — ale nie korzenista — raczej tra-
wiasta, zielona. Szeroki goscinnie, którym
jechałem od Bogorzy do Polańca w „mi-
stycznym“ juz niemal 1920 roku. Wspom-
nienie tej drogi utralilo sie w wyobra-
znie, niemal na zawsze w niej pozostalo
dzieki wierszowi: „Droga byla zielona,
pełna kukulek“.

24 maja

Daleki od tamtego — w czasie i przestrze-
ni. W czasie: dokladnie trzydziest trzy la-
ta, gdy tamten przestal istniec, a tego jesz-
cze nie bylo na swiecie. A przestrzen —
od swietokrzyskich pagórz do Beskidu
nad najgorniejsza Wisla.

Daleki, jakby brat rodzony tamtego. Zja-
wil sie nagle w pobliskim ogródku. Wy-
wolal i zdziwienie, i przypomnienie. Zdzi-
wienie. Tyle od tego czasu, od trzydzie-
stu trzech lat widzialem bów kwitnacych
w maju, ale nigdy nie spotkalem takiego
podobienstwa, niemal ze tozsamosci.

O krzak rodzinny bzu chodzilo. Byl to
bez biały. Krzew — jak go sobie przy-
pominalam — tegi, rosochaty, przysadzisty,
nad sama polna nasza drozyna, obok we-
gla starej chaty. Nieco pochylty, moze od
wiatrow z zachodniej strony, moze od
wglębenia kolein, które podrywajac tro-
che korzenie, sciagaly go niejako ku so-
bie, ku dolowi. Wygladalo jakby sie klan-
ial na wschód, w strone mlasta.

Kochalismy go: „nasz bez“, „nasz biały“,
„nigdzie nie ma piękniejszego“. Pozostawal
tez jakby pod ochrona rodzinną. Tylko na
wielkie swięto można bylo zerwac galuske
tego „swiętego“ bzu.

Ojciec byl jego sadownikiem, zyciodaw-
ca, chronicielem. Do dziesieciora przy-
kazal i takie dochodzilo: szanuj nasz bez.
Nie pisane i nie wypowiedziane prawo, które
w podswiadomosci obowiazywalo.

Bylo to w roku smierci ojca, która na-
stapila zima, w styczniu. Nie zwracalem
uwagi na nasz bez. Dopiero podczas Wiel-
kanocy, gdy przyszł okres wiosennych
pocznień, wydawalo mi sie, ze bez sie
„opoznil“. Wyjechałem. Pod koniec czerw-
ca, gdy znów powrócilem do domu, bez
stal uschnięty, czarny, jak wielka rozpa-
czajaca mlota w sadzie, nad drózką.

Co sie stalo? Moze nie umial żyć bez
ojca, który byl jego gospodarzem i panem.
Umarl z zalu.

Taka byla smierć naszego bzu, wiernego

25 maja

Istebna. Kościół z 1793 roku. Ale nie data
tu wazna. Wazna jest kapliczka. Stworzo-
na przez lad, który tu rzadzil. Stworzona
przez mysl norwidowska, która tu sie
usymboliznila. Usymboliznila sie z nor-
widowskim niedopelnieniem, przez co bli-
ska jest i autentyczna, wierna ludowi (la-
kiemu, jaki jest) i sztuce (takiej jak lu-
d-artysta). Tu sie istebnianski duch wytiu-
macyzyl za siebie i innych. Ceramika, haf-
tem, freskiem, rzezbą, obrazem na naglej
desce. Nie wylaczam, zaznaczam. Gdybym
byl badaczem i historykiem sztuki, opi-
salbym dzieje tego trudnego nabozenstwa,
z którego powstalo dzieło przykladowe.
Jedynie w swej odrębności, a przeciez ty-
powe. I tak mysle: mogloby powstać ty-
siac „podobnych“ (podobnych nie w sche-
matycznym znaczeniu) kapliczek, gdyby...
„Mogloby“ — i to stwierdzenie jest waz-
ne, stwierdzenie możliwości. A „gdymy“?
Odrzucam to „gdymy“, bo wiem, ze zniknie
w negatywnym sensie. Bo gdzie jedno „gdymy“
spełnia dodatnio twórcze warunki,
otwiera sie ognio na tysiąc następných,

Helicja Lisiecka **Humor** **Żałych lat**

W Warszawie czytamy ostatnio zabawną antologię satyry XX-lecia międzywojennego. Czytamy i zamiesławiamy się: gdzie naszym, nie najgorszym przecież w sumie piśmiom satyrycznym, do tej wery, patosu, namietności, kpiny, ironii, szyderstwa, zjadliwości i wszystkich grzechów głównych, które pod piórem poety zyskują rangę cnót, jeśli nie wyjątkowych zasług.

Mamy wprawdzie świetnego Mroźka („polskiego Jonaso”) — jak go nazywa włoska prasa, mamy subtelny i chytry moralistę z podtek-

stkiej, wybuchali śmiechem nad pozłokami dziś numerami „Szpilek” (tych przedwojennych) i „Cyrułika”. Z wyboru wierszy zaprezentowanych w Czytelnikowskim tomie, łatwiej niż z podręcznika historii latych lat, odczytujemy klimat i realia epoki, często trudne dziś do rozszyfrowania fakty, nazwiska — częściej nastroje i sytuacje. Właśnie jak w wierszu „Nastroj w mieście”:

Stoi jeden na ulicy —
Pewno szpiegiel.
Dwóch spotkało się i gada —
o, narada...
Trzech stało pod akacją —
DEMONSTRACJA!

Im dalej w las — tym zagęszcza się atmosfera, beztroski i niefrasobliwy humor z pogaduszek kawiarzanych zaognia się politycznymi konfliktami, chłoszczą satyrą gniewną, zburowaną, patetyczną. Uprawiali ją wszyscy: młodzieńcza, zamordowana później przez Niemców poetka o jednym piwnym a drugim zielonym oku — Zuzanna Ginczanka, romantyczny wieszcz rewolucji Broniewski (skądinąd autor wielu przekornych i nawet nieco nieprzyzwoitych fraszek), olimpijsko klasycyzujący L. Staff, „pegaz stający deba” J. Tuwim i Antoni Słonimski, już wówczas z czarnym parasolem, otoczony przez mały stołeczny parnasik przy ekskluzywnym skamandryckim stoliku.

Jest w ich satyrze cały gniew i sprzeciw postępowej inteligencji tamtych lat. Jest bunt przeciw kołtuństwu, oszaletemu z nienawiścią do lewicy, przeciw antyhumanistycznym kampaniom rodzimych i zagranicznych faszystów, przeciw bojówkom, przebiegającym dziedzinie uniwersytetów i wybijającym szyby korporanckimi laszczkami.

Kołtuś pod rękę bierze kołtuńca:
— Wódki na kredyt nie chce dać sklep!
— Żydokomuna! Żydokomuna!
Huzia, panowie! Kija — i w łeb!
(...)
Papier w dwóch zerach rzadko jest...
Raz więc ktoś użył chiał „J. K. C.”
— Żydokomuna! Żydokomuna!
Huzia, panowie! Wał, gdzie kto chce!



SZTAB GENERALNY
Rys. F. Parecki

Kołtuństwo polityczne szło w parze z kołtuństwem obyczajowym. „Czarna owca” naszych milusińskich stał się oczywiście Boy-Zelenki. Jego akcje antybrązownicze wywoływały zgrozote pruderyjnych dewotek i manifestacje kruchciano-nacjonalistycznych Tartuffów. Mówi o tym

PIOSENKA O ZJEZDZIE
Od bernardynów, od wizytek,
ze wszystkich parafialnych kruch
Ciagną w orдынku tłumy zytęk —
Na Boya! Po cóż lyle kuch?
(...)
Jesi Pirożyński w stroju khaki,
Książd prątał Kios, kardynał Hlond,
Nie zaproszono księdza Baki?
Ach, to był kardynałny błąd!
(...)
Rodzinie polskiej, tej komórcie,
Brat Milaszewski złożył hold,
Polepił Boya — bogobórcę,
Za to, że z Moskwy bierze żółd.



KRYTYK
Rys. Kazimierz Grus

Właśnie na pochody zytęk miała stanowiąc odtrutkę wyzwalająca moc bogobórczych „czterech liter”. Prekursor naszej „Stodoły” J. Paczkowski poświęcił „Wielkiemu Słowu” nieomal cały poemat, kończący się tak:

I nagle: grom! Heureka!
Król-Duch! 44!
Oto się kraj doczekał:
Cztery jak wół litery.
Naród przed Boyem kłęką
Ślubując ideowo
I rośnie jak piosenka
Nieprzyzwoite SŁOWO!

Dzielnie sobie poczynał satyrycy. Do dziś aktualny wiersz Paczkowskiego aż się prosi, żeby dedykował go autorce felietonu w pewnym stołecznym piśmie ilustrowanym, która to autorka kontynuując tradycję sławnych zytęk udzieliła nagany... STS-owi, a konkretnie A. Jareckiemu, W. Siemionowi i J. Markuszkowskiemu za farsę o Napoleonie i pani Walewskiej.

Ale prawdziwe harce polityczne w latach 1918-39 stały się udziałem takich mistrzów gatunku jak T. Hollender, St. J. Lec, S. Karpiński, B. Hertz — nie mówiąc już o Słonimskim czy Tuwimie. Przeczytajmy

nabrzmiały gorzkim sarkazmem wiersz Hollendra, który, kto wie czy nie stałby się proroczą wizją, gdyby nie wydarzenia drugiej wojny światowej. Dopiero one położyły raz na zawsze kres klimatom szowinistycznych nagonek.

HISTORIA

Posłuchajcie tu dziejów, których
czasy już dniają
w roku... przyszłym, z pewnością
pamiętnym,
we wsi każdej i w mieście wszystkich
Żydów narzeszcie
wyduszono, zniszczono ze szczeniem.

Wtedy zaś oczywiście rzekli nacjonalisci,
gdy ostatnią zburzono bożnicę:
— Gdy się stało to dzieło, dalej
będzie się różniło.
I wyróżnił w pień całą lewicę.

Wówczas powstał wódz nowy, ten
wygłosił przemowę,
by narodu sumienie obudził:
— Jest niedobrze! Dlaczego? Zła
przyczyna wszystkiego
o mój ludu, są rude i rudzi! (...)

Jaki jest ciąg dalszy? Tego już
dowiedziecie się sami z Czytelnikowskiej antologii.

Pod adresem samej antologii można zgłosić, oczywiście, parę zarzutów: po pierwsze — brak komentarza, który by umożliwił czytelnikowi poznanie całej historii poszczególnej wierszy, choćby takich jak „Modlitwa pokonanych” Putramenta. Wytoczyli za nią autorowi proces ówczesni katolicycy, podając jako przyczynę obrazę Pana Boga (trawestacja formy modlitewnej). Proces toczył się w Warszawie, autor mieszkał w tym czasie w Wilnie. Bronił go słynny z nonkonformizmu w sprawie brzeskiej adwokat Leszczyński. W rezultacie sąd wydał wyrok uniewinniający z przestrogą, aby autor wiersza, póki nie jest jeszcze Mickiewiczem lub Kasprowiczem, zrzucił wadzenie się z Panem Bogiem.

Takich anegdot, a i zwykłych komentarzy, domaga się większość utworów zamieszczonych w tomie, choćby — niezrozumiały bez wyjaśnienia — wiersz Leca „Hassgesang gegen Hitler” (szkoda nb. że autorzy nie zanieślił słynnej w dwudziestolecie fraszki Leca „Elita”).

Pewne wątpliwości budzi niekiedy sam wybór utworów. Skąd np. znalazł się w antologii znakomity składniak wiersz Lesmiana „Dwoje ludzi” — nie, jako żywo, z satyrą nie mającą wspólnego? Ze względu na ironię? Ależ wobec tego większość „ironicznych” utworów literatury światowej, nie należących do gatunku satyrycznego, musiałaby zostać najnieśluszniej do niego przeniesiona.

Sam wybór — jak we wszystkich antologiach — oparty na indywidualnych gustach redaktorów, pozostawia więc trochę do życzenia (m. in. także w wypadku Antoniego Słonimskiego. Należało tu dać trochę inny zestaw utworów, włączając również trochę z kronik tygodniowych). Niemniej jest to pierwsza od czasów „Księgi humoru polskiego”, prezentująca dzieła dawnych mistrzów, tradycje polskiej humorystyki — antologia tak szeroko zakrojona. Dodajmy, że bardzo kierunkowa, oparta na jasnych, nonkonformistycznych założeniach ideowych. Przeczytajcie wybór „Satyra prawdę mówi”. Jest w niej istotnie sporo prawdy o dwudziestolecu międzywojennym.

POTYCZKA pod Grun-Walden

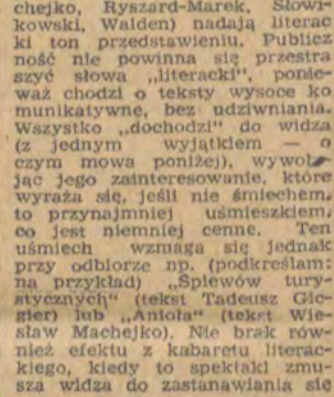
Pewien pisarz, a mój dobry znajomy, powiedział kiedyś: Zarzych jest dwa razy większy niż nasz omentarz miejski, ale tyłko w potowie tak wesoły. Było to i jest prawdą niezaprzeczną dla każdego, kto zna Zarzych. Tym niemniej ma on dzisiaj, jak donoszą wieści światła sceny estradowej, która uchodzi za najlepszą w Europie. Rzecz ciekawa: Szwajcarzy chodzą do tego kabaretu by się śmiać z Szwajcarów.

W tym autoironicznym śmiechu społeczności widzę istotę sceny kabaretowej lub teatru ku małym form, jak kto chce to nazywać. Stąd też sukcesy amatorskich scenek studenckich. Czysty humor natomiast lub humor czysto rozrywkowy, jeśli przeważa na scenie małych form, degraduje ją, lub awansuje, jak kto uważa; do rangi variety.

U nas jednak kabaretowa drwina z samego siebie — od niepamiętnych czasów potrzebna dla podtrzymania każdej społeczności na duchu — zaczęła w niektórych umysłach uchodzić za śmiech wrogi ustrojowi. Stąd przy znanym układzie sił między administracją a satyrą, doszło do kompromisu: „Śmieć się pajacu”, ale na szczęście wojewodzkim, jeśli chodzi o stolice, zaś na szczęście bliu powiatowym, jeśli chodzi o śmiech wojewodzkim.

Dylemat ten, jak domyślamy się stanął również przed realizatorami programu składanego Teatru 7.15. Prasowa premiera spektaklu pt. „Odjazd 6.55”; odbyła się właśnie kilka dni temu.

Trzeba powiedzieć, że w doborze tekstów teatr wybrał jak najlepiej z tego dylematu; przy czym zamienne jest, że teksty łódzkiej autorów (Giegiel, Huszcza, Krzemieński, Machajko, Ryszard-Marek, Słowkowski, Walden) nadają literacki ton przedstawieniu. Publiczność nie powinna się przestrażać słowami „literacki”, ponieważ chodzi o teksty wysoce komunikatywne, bez udziwniania. Wszystko „dochodzi” do widza (z jednym wyjątkiem — o czym mowa poniżej), wywołując jego zainteresowanie, które wyraża się, jeśli nie śmiechem, to przynajmniej uśmiechem, co jest niemniej cenne. Ten uśmiech wzmacnia się jednak przy odbiorze np. (podkreślam: na przykład) „Spiewów turystycznych” (tekst Tadeusza Giegiela) lub „Antioła” (tekst Wiesława Machajko). Nie brak również efektu z kabaretu literackiego, kiedy to spektakl zmusza widza do zastanawiania się



LEOPOLD BECK

nad tragiczną wymową śmiechu tego tekstu, jak to ma miejsce w „Człowieku na orszku” (tekst Ryszarda-Marka). O piosenkach, niestety, nie podejmuję się nie powiedzieć z prostej przyczyny, że są one wykonywane a nie śpiewane.

Program jest bardzo umiarkowany. Ale jeden numer zbiorowy ucierpiał na tym, ponieważ orkiestra, złożona zaledwie z kilku instrumentów, potrafiła zagłuszyć aktorów. Jest to wina nie muzyków, lecz słwej akustyki malej sali. Man kament na pewno do usunęcia. Drugi mankament da się usunąć, jeśli pomówi się z elektrykiem. Czarny kolor jest niebezpieczny dla kabaretu czy estrady, a feria barw jest jak najbardziej jej miejscu. Sprawozdawca docenia oczywiście intencję scenografii: ciemna sala kolejąca z gra kolorowych świateł. Ciemność wyszły znakomicie.

Reżyser przedstawienia, zarazem dyrektor teatru, ma ensambłowia koncepcję, może nie tyłko tego przedstawienia, ale swego teatru w ogóle. W przypadku składanki czy też kabaretu jest to koncepcja zdradzająca niebawala odważną i ufność we własne reżyserskie siły; zamiast gwiazd, prawdziwych lub podrobionych, ensamble na możliwie wysokim poziomie, zamiast szalonych solówek wyrównany poziom całego zespołu. Taki pogląd jest w dzie dzinie estradowej muzyki rzadko spotykany. I chwala aktorom, którzy pogląd ów akceptują, bo są wśród nich tacy, którzy mogliby żądać tradycyjnej koncepcji. My ze swej strony stwierdzamy, że kierownik artystyczny zwycięsko wyszedł z pierwszej potyczki pod Grun-Walden...

Teatr 7.15. „Odjazd 6.55”, reżyseria — Jerzy Walden, układ tanceria — Józef Matusewski, scenografia — Jerzy Gorazdowski, kierownictwo muzyczne — Piotr Hertel, opracowanie muzyczne i instrumentacja — Wiktor Osiecki.



AMNESTIA
Rys. Z. Bobowski

stami — St. J. Leca, mamy jubileuszowy STS — kwiat młodej sceny i jego piosenki — trochę liryczna, trochę metafizyczna, trochę polityczna; mamy wreszcie Sztudyngerów, Zamuckich, Minkiewiczów, Marianowiczów, niezrównaną K. Zylwską, nieczłą J. Kulmowa...

A jednak nie mamy humoru pisanego na miarę ulotnych rymów i dowcipów, przekazywanych przez znajomych pocztą pantoflową. Nie mamy ostrości choćby takich właśnie, jak w niektórych wierszach wspomnianej antologii. Cóż, dowcip mówiony bywa często trefny, tłusty, ostry, ale prawdziwy. bije zazwyczaj w istotnie negatywne zjawiska naszego życia, i — oczywiście — w relikty mieszczańskich obyczajów lub moralności. A te jeszcze dziś godne bywają pióra nowych Ksiądzkich i Trembeckich.

Satyra jest najbardziej realistyczna gałęzia literatury, najbardziej nonkonformistyczna jej siostrzyczka. Wykazuje to w krótkim wstępie Z. Mitzner, charakteryzując poszczególne historyczne etapy rozwoju polskiej humorystyki. Ale zamiast wykładu i próżnych wykrzykników zajrzyjmy do tekstów (zebranych przez tegoż Mitznera oraz L. Pasternaka) i otwórzmy po prostu antologię na którejkolwiek stronie. Zupelnie jakbyśmy cofnęli się wellowskim wehikułem czasu o 20-30 lat wstecz. Jakibyśmy do Broniewskim, Ginczanka, Tuwimem, Hollenderem, B. Hertzem i Słonimskim waleśali się po ulicach starej Warszawy, jakibyśmy słuchali plotek w „Ziemiań-

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ **Dwa oblicza muzy Klio**

Znakomity paleontolog francuski, Teilhard de Chardin, pisząc o czasach przedhistorycznych, przed pojawieniem się człowieka we wszechświecie, wypowiedział pogląd, że tamte okresy opisywano nie takimi, jakimi były naprawdę, lecz takimi, jakimi powinniśmy sobie je wyobrażać, „żeby świat w obecnej chwili był dla nas prawdziwy”. Wynika z tego, że przeszłość nie jest przedmiotem poznania „sama w sobie”,

Przeszłość jest taka, jaka widzi ją człowiek współczesny. Gdy czytałem to sformułowanie, nasunęło mi się pytanie, czy nie odnosi się ono również do bliższych nam okresów historycznych, nawet tak gruntownie zbadanych, jak wiek XVI czy XVII. Nie mam na myśli banalnej prawdy, że niemal każde pokolenie inaczej widzi i ocenia minione okresy życia narodów. Ale prawda ta w innym oświeceniu przewija się jednak raz po raz w nauce. Odnalazłem ją jako motyw uboczny w interesującej książce prof. Mariana Henryka Serejskiego „Historicy o historii”. Nie czuje się powołany do pisania recenzji o tym dziele. Centralnym tematem książki jest rozwój świadomości metodologicznej polskich historyków i ewolucja ich poglądów na naukę o dziejach. Po zapoznaniu się z dziełem prof. Serejskiego doznałem szczerzego współczucia dla nieśczęsnej nauki (historii), która jak chyba żadna inna była — od Naruszewicza do Ketrzyńskiego — torturowana na mądrzejym łożu wymagań, wystawiana w różnych czasach pod jej adresem. W dobie Oświecenia miała być „historia filozoficzna”; jako wiedza naukowa miała kształcić nowych obywateli, mężów stanu i polityków; dalej, jedni zastępowali ją do obrony starego porządku, tronu i ołtarza, inni — kazali jej walczyć o eman cypację i wyzwolenie klas uciskanych; w epoce romantycznej miała wypatrywać przelajawów „ducha narodowego”; później kazano jej się kontentować krytycznymi konstatacja-

mi na podstawie źródeł („jak to właściwie dawniej było”); potem znów miała być szkołą obyczajową, „mistrzynią życia”, „pokrzepicielką serc”, wreszcie — wykształcać realistyczne myślenie i pomagać w wychowaniu świadomych obywateli nowoczesnego państwa. Jednym słowem, Klio muza historii, była na przestrzeni wieków czymś w rodzaju „Mädchen für alles”. I w rezultacie, co najmniej w każdym ćwierćwieczu obraz przeszłości wypełniał się odmienną od poprzedniego obrazu treścią. Oto dlaczego w książce prof. Serejskiego znalazłem pośrednio nowe potwierdzenie znanej prawdy.

Ale kogóż więc w łodcu uosabiała ta sponiewierana i udręczona muza? Naukę czy sztukę? I jaka jest i była rola wyobrażeń w jej życiu, czyli w studiach nad przeszłością? Uczony historyk Stanisław Śmółka dopuszczał pewien stopień subiektywizmu w studiach historycznych i — jak pisze prof. Serejski — doceniał wpływ czynników artystycznych na pracę historyków broniąc tezę, że „w badaniach historycznych jest rzemieślniczym, w przedstawianiu — artystą”. Inni posuwali się jeszcze dalej twierdząc, że pod względem jakościowym nie ma różnicy między historią a powieścią historyczną, i że historycy — to Romanschreiber (powieściopisarz).

W początkach XX wieku pozycja historii jako nauki uległa zachwianiu tracąc swe produkcyjne znaczenie w rzecz socjologii. Podważono wówczas

wiarę w niezawodność jej metod, podważono wiarę w jej użyteczność społeczną. Ta „interesująca, i z pewnością służąca konstatacja, nasuwa przypuszczenie, czy i dziś nie jesteśmy świadkami analogicznego przeświadczenia o roli tej wlaśnie nauki, która bada i planuje przeszłość. I czy nie dzisiaj (między innymi) dzisiejsze prace historyczne zawężają się do zadań monograficznych (są to moje sugestie) i to szczególnie w zakresie zadań historii gospodarczej? Czy więc mutacja mutandis nie wracamy do dawnego okresu tak zwanej „historii wytnikowej”, kiedy to wyszkolone kadry fachowców tworzyły pracowite monografie i produkowały małe „cegielki” nie wnosząc wielkiego gmacchu historii, w którym by mogły zasiać Synteza popołu z Filozofia dziejów?

Z pewnością, niesłuszny i krzywdzący byłby zarzut, że dzisiejsi historycy wyrzekli się zaszczepionej „służby życiu”, przeciwnie, ich prace monograficzne i mozolne gromadzenie i porządkowanie materiałów źródłowych, zwłaszcza w zakresie historii ruchu robotniczego, posiada niewątpliwie doniosłą wartość naukową i polityczną. Tego rodzaju studia nie zaspokajają jednak „głodu historii” obserwowanego w szerokiej masach. Ogół chce nie czytać, jak dawniej, efektowne, piasne światła polszczyzna szkice historyczne dzisiejszego Kubali (faktory były przecież i natchnieniem Sienkiewicza!), Askenezem czy nawet Artura Silwińskiego. Dziś atrakcyjne ujęcie minionych zdarzeń z historii ruchu robotniczego, in-

teresujące zamknięcie w popularnych szkicach historycznych przebiegu buntu łódzkiego 1892 roku lub rewolucji 1905 roku przyniosłoby współczesnym Kubalom i Askenezom, na których czekamy, chwałę i sławę.

Niestety, tacy pisarze, jak Kubala, nie cieszyli się uznaniem swych kolegów-historyków. Bobrzyński, na przykład, pisał o autorze „Szkiców historycznych”: „Przeszczęstożony klimatycznie krytyka o niedostatkach w metodzie źródłowej badania...”.

Zdaje się, że i prof. Serejski odnosi się nieco nieufnie do Kubali, o którym pisze we wzmiance zamieszczonej w odсылaczku: „niezmiernie popularny dzięki i a t e m u p i ó r u...”. Łatwe pióro? Czy to nie trochę deprecjonująca ocena prozy takiego znakomitego stylisty, jakim był Kubala?

Dziś obowiązuje Kubali wzięty na swe barki Jasieniec. Mamy więc Jasieniec, potem długo, długo nie, po czym musimy zadowalać się Szeńcica lub Koźmińskim jako zręcznymi popularizatorami historii. Ale ta nie zaspokaja w pełni zapotrzebowania polskich czytelników zamierzających w dziejach odczytać.

Jasieniec klasyfikuje Andrzej Kijowski na czotowym miejscu współczesnej prozy chwalać jego „chłodny, skromny język dyskursywny” i słusznie! Cenie również wysoko pisarstwo Jasieniecia, ale jednak wolalbym czytać jego dzieła właśnie w mniej chłodnym i skromnym języku, a raczej — w tym bliższym polszczyźnie Kubali.

Dwa i pół PILARSKIEGO

Kilku zasłużonych ludzi uczczono w ten sposób, że nazwiska ich stały się nazwami różnych jednostek miary. Spotkało to Oma, Roentgena, Ampera, Gaussa i wielu innych. Gdyby ktoś chciał w analogiczny sposób uczcić Józefa Piłarskiego, to za jednostkę jego imienia należałoby wziąć 50 lat pracy w teatrze. Operując taką jednostką, można by powiedzieć, że trwając od stu dwudziestu lat życie teatralne Łodzi liczy sobie dwa i pół pilarskiego, tak jak o pewnym oporze elektrycznym mówimy, że liczy sobie dwa i pół oma, lub o jakimś promieniowaniu, że wynosi dwa i pół rentgena.

Dwa i pół pilarskiego wstecz — to rok 1844 (wybaczenie nieznacznego błąd, rok w którym rajca Drewnowicz zobaczył w Łęczycy teatr. W tamtych bowiem latach, jeśli ktoś poczuł w sobie geniusz sceniczny, to wyjeżdżał do Łęczycy. Niekoniecznie do Warszawy, jak dziś.

I akurat na Trzy Króle roku 1844 sprowadził Drewnowicz teatr do Łodzi. Na rogu pl. Kościelnego i drogi Zgierskiej stała gospoda, a obok niej drewniana szopka. W tej to szopie pierwsza w tym mieście kurtyna odsłoniła scenę, na której trupa Marzantowicza odegrała sztukę „Kobieta z gniewu”, z udziałem m. in. Lewickiej, Strzałkowskiej i Fijałkowskiego. Związana ten ostatni wywarł na zebranych w szopie poleźne wrażenie, grał bowiem rolę bohatera negatywnego, a robił to tak sugestywnie, że pewna rajcowa siedząca w drugim rzędzie, nie wytrzymała! Na widok kolejnej podłości wyrządzonej przez Fijałkowskiego partnerem, odgryzła wielką nitkę od ponoczoży, którą właśnie robiła i kłębkiem z całej siły grzmotnęła Fijałkowskiego w głowę, przy hałaśliwej aprobacie widowni.

Artystę tego inaczej ocenili łodzianki, kiedy wystąpił w następnej sztuce, zatytułowanej „Adam i Ewa”. Fijałkowski grał amanta. Czarował, uwodził, zdobył serca obecnych w szopie kobiet, czemu one niezwłocznie dały wyraz w ten sposób, że zrobiły między sobą składkę a ubieraną sumę wręczyły za pośrednictwem Drewnowicza — Fijałkowskiemu. Ciekawe jak by dziś minę zrobił na przykład Sochnacki, gdyby na chwilę przed zgonem Cyryna wtargnęła za kulisy delegacja obecnych na sali studentek i wręczyła mu ubieranego ze stypendialnych piguciozłotówek „patyka” w bilonie.

Wtedy widownia umiała reagować! To przecież nie o wiele później dano przedstawienie typu kryminalnego pt. „Rinaldo Rinaldini”, w czasie którego aktorzy przebrani za bandytów zaczęli łacińskie słowa przebranych za żandarmów a suler wychylił się z budki i z okrzykiem „Wal lobuza!” zachełwał bandytów do bitki. Cała sala podzieliła się na dwa tłukiące się obozy, ale obozy, mające swe uzasadnienie w tekście sztuki. Nie pamiętam tylko, czy działo się to jeszcze w owej szopie, czy może już w domu Geyera niedaleko Geyera Rynku, czy może w salce hotelowej w Paradyżu. Bo teatr łódzki błędził dość długo, zanim osiedlił się na stałe w sali Sellina przy Konstanyńskiej, w „Victorii” — gdzie dziś kino „Polonia” oraz w „Thalii” — gdzie dziś „Baltyk”.

Sellin miał dwie posesje na Konstanyńskiej: pod Nr 14 i 16, tam, gdzie dziś bar „Kęs” miga wieczorami skromnym neonem: „Kęs — seK” i znów: „Kęs — seK”. Tam właśnie był teatrzyk Sellina i tam stał później Teatr Wielki. Interesująca, czasem zabawna, czasem irracjonalna była ta łódzka przepłatanka ludzi, którzy ukochali teatr i polskość — z geseftiarzami, którym chodziło o zarobek, bez względu na to, czy miał on swe źródło w sztuce bawelny, czy w sztuce teatralnej. Toteż administrowane przez tych ostatnich teatry były z reguły niekorzystnie usytuowane, nie zabezpieczone na wypadek pożaru i z reguły kończyły żywot w płomieniach. Ze zaś okazywały się Feniksami — to już inna sprawa. W początkach tego wieku taki krążył po Łodzi wierszyk:

Pyta się „Victoria” teatru „Wielkiego”:

— Na co ci wentylacja, powiedz mi kolego,

„Wielki” milczy, lecz widać, że z każdego czołka,
Który siedzi w „Victorii”, pół strumieniem ścieka
I że chociaż artyści łódzcy grają znośnie,
Niejeden widz otyły zmyka, gdzie pieprz rośnie!

Odrzekł:

— Na to teatrom wentylacja zda się,

By chłodno było w sali, no... i ciepło w kasie

W teatrze „Victoria” często wybuchały fałszywe alarmy wynikające z tego, że np. przedostawał się na widownię dym z papierosów palonych w korytarzykach za lożami. Aż przyszedł dzień, kiedy teatr stanął w płomieniach, przez wąskie, istniejące do dziś podwórko nie mogła docisnąć się straż — zresztą, pożar ten opisał świadek oczny, Zelwerowicz w „Gawędach starego Komedianta”.

Teatr „Wielki” inne miał osobliwości. Na przykład zapach kiszzonej kapusty, przedostający się na widownię z piwnicy. Bowiem Fryderyk Sellin, administrator teatru, w swoim długim życiu zajmował się nader rozległym — jak to mówią — wachlarzem działalności. Prowadził hotel, restaurację z ogródkiem i bez, cukiernię, tingel — tangiel z szansonistkami, organizował wloty balonów, bałe dobroczynne i zarobkowe, seanse epirystyczne, cyrk i oczywiście teatry. Piwnice podteatralne wykorzystywał jako spiżarnię na użytek restauracji.

Powstał później Teatr Polski przy dzisiejszej ulicy Jaracza a zaraz po pierwszej wojnie teatr Thalia stał się teatrem polskim. W dzisiejszym teatrze Jaracza w r. 1916 (jeden pilarski wstecz) odbył się beneficjusz Józefa Piłarskiego i Jerzego Woskowskiego. Ponieważ był to rok zgonu Sienkiewicza, wystawiono „Pana Wołodyjowskiego”, ale Piłarski chyba w roli pana Michała nie wystąpił. Na zbiorowej fotografii, jaką sobie wtedy zrobiono, Józef Piłarski wygląda jak Wojciech Piłarski przed październikiem.

Ponieważ autor felietonu niniejszego nie ma ambicji, by stać się historykiem teatru łódzkiego, ma prawo pominąć międzywojenny okres i międzywojenne nazwiska występujących w Łodzi dzisiejszych wielkości teatru w Polsce. W ostatnich latach epokę stanowił tu — rzecz jasna — Dejmek, który stworzył to, co nosiło nazwę teatru Dejmka, bez względu na nazwę oficjalną. Kiedy reżyser ten opuścił Łódź, jeden z wszechaprobujących dziennikarzy uciechy się publicznie, że Dejmek opuścił Łódź, by służyć całemu narodowi. Można i tak. Tylko że taki wyjazd niezależnie od wszelkich motywów — jest po prostu banalnym.

A przyszłość teatru łódzkiego leży na placu Dąbrowskiego.

Eugeniusz Ajnenkiel — znany działacz społeczny, poseł i prezes TPL — od dziesiątków lat zbiera i bada zabytki samorodnej twórczości robotniczej — pieśni, piosenki i wiersze. To już prawie 40 lat...

„Moje zainteresowania wierszem i piosenką towarzysząca życiu klasy robotniczej rodzinnej Łodzi sięgają lat dziecięcych. Prędzej i dokładniej wyuczyłem się tych pieśni i wierszy niż pacierza. Początkowo uczyłem się ich na pamięć, skoro jednak gromadziło się coraz więcej, zacząłem notować”.

Ale to jeszcze nie było zbieractwo w całym tego słowa znaczeniu. To po prostu zapisy dokonywane przez kilkunastoletniego chłopca — wychowanego w socjalistycznym domu, gdzie ojciec był członkiem SDKPiL, a starszy brat działał w PPS. Systematyczne penetracje i zbiory zaczęły się później...

„Kiedy Leonowi Wasiliewskiemu (ojcu Wandy), który wydawał wtedy pismo „Niepodległość” pokazałem w 1928 roku moje zeszyty zapisane piosenkami — zostałem zachęcony do badania tych tekstów. Do penetracji, kto je napisał (ukazywały się przecież ze zrozumiałych względów, anonimowo), czy zostały kiedyś drukowane, gdzie i kiedy, jakim zmianom uległy w masach... W dołączeniu do źródeł i autorów pomagali mi starzy towarzysze partyjni, pomagał Leon Wasiliewski, Jan Cynarski, Adam Próchnik”.

Od tego momentu zaczęła się żmudna praca kompletowania zbiorów, rozszyfrowywania krypt tonimów, spisywania niezliczonych wariantów... W aneksie do rozprawki Eugeniusza Ajnenkiela pt. „Piosenki i wiersze robotniczej Łodzi w latach 1882—1919”, ogłoszonej drukiem przed paroma laty w „Pracach Polonistycznych”, naliczyłem aż 13 publikacji na ów temat. Wszystkie pióra Eugeniusza Ajnenkiela.

Bogate zbiory otwarte jednak były dla każdego, kto chciał się nimi zainteresować. Korzystał z nich Julian Tuwim, Korzystał Sygietyński, Mieczysław Krzyżski, Grzegorz Timofiejew, wspomina o nich w swoich pamiętnikach Bolesław Drobnier.

„Nigdy nie trzymałem moich zbiorów pod korec, bo wiem jak duże znaczenie ma ta z pozoru mało znacząca piosenka czy wiersz. Dziś jest to ważny dokument historyczny, jest on wyrazem samorodnej twórczości, która wynika z zaangażowania politycznego; dokument ten odzwierciedla przecież nastroje minionych lat ukazujące realia owych czasów... Kto chce poznać historię zmagania polskiej klasy robotniczej, ten musi poznać jej twórczość poetycką. Te wiersze — małe i wielkie, były wspólnym dziełem i wspólną własnością ludzi pracy”.

W połowie roku 1939 Eugeniusz Ajnenkiel posiadał już skompletowaną księgę wierszy i piosenek robotniczych w Polsce z okresu 1882—1919. Był to owoc wieloletniego szperania w archiwach SDKPiL, PPS i PPS.

Archiwum WILMAŃSKI TRADYCJI Łódzkiej



Fot. E. Kudaś

Lewicy, antykwariatach i bibliotekach, werniowa prasy konspiracyjnej. Wiersze uszywane i opisywane były nieraz urywkami jakiejś całości, czasem znów na jeden wiersz składały się dwa utwory, wiersze ulegały zmianom w czasie swej wędrówki... Wszystko to trzeba było ustalić, odszukać pierwotny kształt utworu, znaleźć autora. Ale przyszła wojna i aresztowanie. Gromadzony z trudem zbiór ocalał z katastrofy za ledwie w pięćdziesiąt proc. Niemniej dziś, po dziesięciu latach uporczywego szukania, Eugeniusz Ajnenkiel posiada jeszcze bogatszą kolekcję pieśni i wierszy, liczącą 625 utworów i obejmującą lata 1879—1939. Wybrana część tych utworów opasanych tezcok maszynopisów ukazuje się drukiem z inicjatywy Wydawnictwa Łódzkiego.

To, oczywiście, będzie tylko niewielki fragment wieloletniej pracy Eugeniusza Ajnenkiela. Ale dobrze, że Wydawnictwo wyszło z tą inicjatywą. Polska rewolucyjna pieśń robotnicza — świadectwo walki, myśli i nastrojów — to dziedzina mało właściwie znana, dziedzina, która doczekała się wprowadzenia swego Kolberga, ale wciąż jeszcze czeka na pełniejszą popularyzację.

ŚMIERĆ KUNITZERA

W mieście Łodzi rozeszła się nowina. Była to sobota, coś piąta godzina, Powracał do domu, starym zwyczajem, Kunitzer, Tamtani, jadąc tramwajem.

Tam na przystanku przy Nawrot ulicy Kunitzer zęgnął swych towarzyszy — „Zęgnaj mu też pałacu i nieba błękitcie, Bo dzisiaj, lotrze, kończysz swoje życie!”

Z tyłu na platformie, dwaj bojownicy stali I każdy, pojedynczo, z brauninga wali, „Lud cię prosił daremnie, prosił ze łzami, A tyś mu się lotrze odplacał kozakami,

Z pracy, z warsztatu, na łeb wyrzucałeś, Za długoletnią pracę tak się wywdzięczałeś, Kończysz dziś swe życie — masz więc pozdrowienia Od twych robotników wpakowanych do więzienia”.

Na Promenadzie, pod pałacem murem, Stanał tłum ludzi długim sznurem, A każdy po cichu swe usta rozwiera — „Już diabli wzięli nareszcie Kunitzera”.

Utwór ten recytowany przez robotników Widzewa spisał i przekazał Eugeniuszowi Ajnenkielowi Wiktor Krawczyk. Wyrok na Kunitzera wykonał robotnik Karol Szulc w dniu 30 września 1905 r.



A w niedzielę rano każdy się ubiera, A wtem wchodzi patrol i wszystkich zabiera.

Przychodzimy do cyrkułu, jest godzina szósta, A tam powiadają: jest karetką pusta.

Jedzie karetką więzienną ulicą, Sześciu żandarmów a siódmy woźnica!

Jedziem do pałacu, co Ratuszem zwany Co ma wszędzie kraty — i okna z blachami

Wchodzimy do kancelarii: piszą z nas protokół Zjawia się naczelnik o niemylnym wzroku!

Wchodzimy do kancelarii, tam są nowi goście I nam wrabiają komunę na moście.

A my powiadamy, że my wciąż robimy O żadnej komunie nic a nic nie wiemy.

Nie wiemy za co i z jakiej przyczyny — Aż tu Olek kapuś bierze nas do winy.

Noc minęła cicho, w poniedziałek rano Sześciu powieszono — siedmiu rozstrzelano.

Pieśń powstała w więzieniu. Jest to utwór zbiorowy napisany głównie przez skazanych na karę śmierci. Drukowany w „Krytyce”, styczeń 1909.



KRYZYS SZTUKI?

Przynajmniej od stulecia — pisze Ignacy Witz w „Notatkach z Paryża”...

Kryzys sztuki. Smutny termin. Termin używany najczęściej chyba przez tych, którzy sztuce nie wierzą...

Być może więc, coś w tym jest? Być może. Ale Ignacy Witz pisze o innym kryzysie...

Artykuł Witz dotyczy przede wszystkim sytuacji paryskiej. Trudno mówić o kryzysie rynku u nas...

ZABAWA W EKSPORT? Tak zatytułowany jest artykuł Jana Okopienią w ostatnim numerze „Polityki”...

stycznych pełnych nakładów książek na sumę 23 tysięcy złotych dewizowych...

Boiteau

spektakle tygodnia. FILM: WŁOKNIARZ — „Koniec naszego świata” 100% frekwencji. POLONIA — „Gwiazda szeryfa” 98%.

KSIĄŻKA SPOD LADY

Jestem adoratorem literatury francuskiej, choć nie jestem jej znawcą. Dlatego chętnie czytam francuskich pisarzy...

Toteż kiedy dowiedziałem się, że ukazała się po polsku „Historia literatury francuskiej w zarysie”...

Więc kiedy Państwowe Wydawnictwo Naukowe zdecydowało się przełożyć na polski historię literatury Lansona i Tuffrau...

Ostatecznie piszący te słowa zdobył egzemplarz „Historii literatury francuskiej w zarysie”...

Oczywiście, najbardziej interesuje nas (a w każdym razie mnie) epoka współczesna...

zji, prozy, dramatu i krytyki. Autorzy wychodzą w swych rozważaniach z opisu wpływu, jaki pierwsza wojna światowa wywarła na umysły ludzkie...

Tak samo postępują autorzy podręcznika przy charakterystyce pisarzy. Zacytujmy jeszcze, co piszą oni o dramatopisarzu Alfredzie Savori...

„Historia literatury francuskiej w zarysie” przełożona została ładną polszczyzną przez Wierę Bieniowska...

Ludzie kochani, co za czasy!

Jan Koprowski

Notatnik kulturalny

30. III. — 5. IV.

PONIEDZIAŁEK

Kartka pocztowa. Znak, że ktoś pamięta, że poświęcił tobie choć chwilę, jaka potrzebna na określenie konwencjonalnych pozdrowień...

WTOREK

Pozazdrościła Łódź Rybnikowi turnieju poetyckiego o „Złotą lampę górnictwa”. Ale to dobrze...

ŚRODA

Goście źródła w Zgierz, linia tramwajowa na Piotrkowskiej... prima aprilis... Ech, nie tak to drzewiej bywało...

CZWARTEK

Rocznica z gatunku wielkich. W 1584 roku urodził się William Szekspir. Teatr, gdzie szekspirowski repertuar jest raczej żelaznym repertuarem...

PIĄTEK

Jeden z moich przyjaciół wyjeżdża do pracy do Wrocławia, drugi mój przyjaciel wyjeżdża w Olsztyn...

SOBOTA

Kupiłem w Łódzkiej DESIE starą ikonę z XII wieku. Na grubej szczernej desce pełnej rys i zacieków...

smaku. O czym jednak bardziej?

NIEDZIELA

W lutym noc 1314 roku zmarł przyrodnik i filozof, lekarz królewski i rektor Akademii Krakowskiej zwany Adamem z Bochenia...

J. W.

**fraszki
jana Czarnego**

OBURZENIE

Niejeden z gniewem woła:
Diabli nadali aniola!

MARZENIE

Zostać snobem — marzy snobek,
to dorobek..

O LUDZKIE PRAWO DO SZMIRY

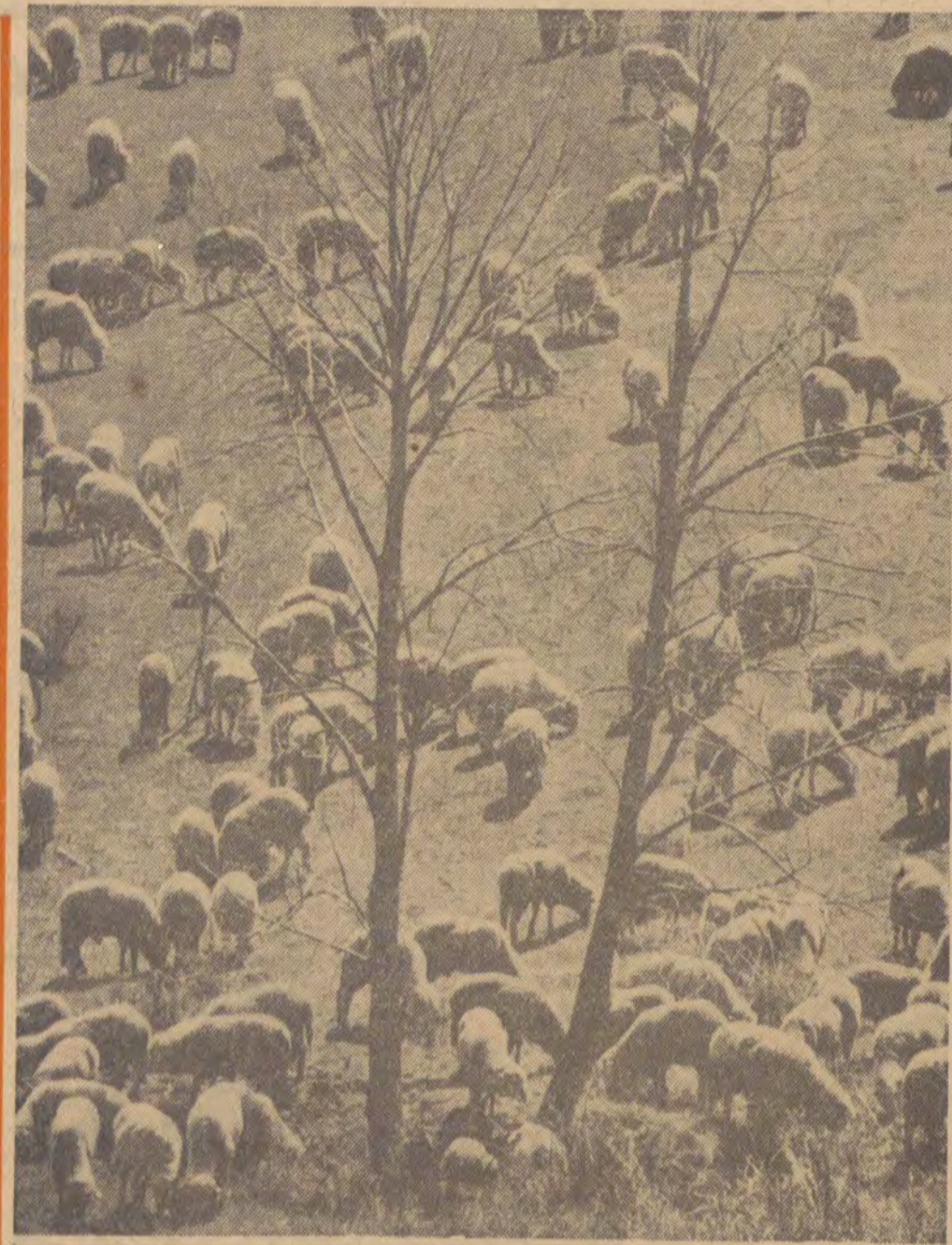
Byłoby rzeczą zabawną zestawić ze sobą dwie różne opinie na temat tego samego seansu telewizyjnego: opinię krytyka i opinię widza, opinię tego, który profesjonalnie feruje oceny i opinię wartościującego bezinteresownie, spontanicznie. Okazałoby się najprawdopodobniej, że te dwa sądy minimalnie komunikują się ze sobą, co gorzko okazałoby się jak znikomy wpływ na mniemanie telewizora ma orzeczenie krytyki usiłujące kształtować gust odbiorcy. Żeby zaś nie wpadać w krańcowość — okazałoby się najpewniej, że głos krytyka może liczyć na oddźwięk tylko do pewnego momentu, dalej następuje granica, której przy pomocy ludzkiej możliwości przekroczyć się nie da. Kto wie, może nawet wyrok recenzenta są wydawane z maską na twarzy, a w gruncie rzeczy jego opinia ciąży ku przekonaniom powszechnym. Ku przekonaniom, które wyżej stawiają „porządne” widowisko przygodowe niż wszelkie inne „artystyczne krygi”, które bardziej cenią sobie tradycje, choć zła, od nowatorstwa, choć dobre.

Oszalająca kariera Zorro i Robin Hooda, choć wszyscy wyrażają się o niej z lekceważeniem, jest zjawiskiem o sporej randze społecznej, tak, jak nie bez znaczenia jest fakt, że western się nie starzeje. Zresztą i Zorro i Robin Hood są inną odmianą westernu, wykorzystują tę samą konwencję fabularną. Odwracając zagadnienie — należą do grupy widowisk, która zaspokaja ten sam schemat emocjonalny odbiorcy. Jest

to schemat od wieków układał towarzyski, właściwie nie podlegający zmianom, co najwyżej zrzęcznie tuszowany i w chwilach liberalizmu dopuszczający inne schematy. Jest to schemat melodramatu, starannie pielęgnowany wśród ludzkiej doznań, jedyny dający stałe oparcie, pewny i bezpieczny. Lubimy melodramat dlatego, że znamy go na wylot, że wyznaczył stałe proporcje, które porządkują chaos świata. I cóż z tego, że z góry wiemy jak skończy się western? W tym właśnie jego siła, że jeszcze raz poświadcza nasze przypuszczenia, pozwala się wzruszyć, podniecić, a potem odetchnąć z ulgą, że wszystko jest po dawnemu. Skoro zaś tak, po co zrywać się na telewizję, że operuje obfitymi efektami łatwych efektów? To przecież nasze zapotrzebowanie, nasze, widzów, i ich, twórców widowisk.

Telewizja z niebywałą łatwością wchłonięła wszystko, od czego odcięli się czy próbują się odciąć inne sztuki, literatura, teatr, ostatnio, dzięki stosowaniu nowych sposobów filmowej narracji, film. Melodramatyczne odpady znalazły tu wygodny kącik i cieszą się dobrym zdrowiem.

Ale nie wszystko, co przejeżdża się od literatury ma od razu formę skończoną, formę, którą idealnie należało się na schemat emocjonalny odbiorcy. I tu z pomocą przychodzi natura sztuki telewizyjnej, sprowadzająca się do konkretnej sformułowania, do upostaciowania abstraktu. Czytając książkę można sobie to i owo wyobrazić, zinterpretować,



WIOSNA (z fotografii węgierskiej)

wał, w telewizji wyobraźnia nie ma nic do roboty, zostaje tylko cieszyć oko i podniecać własne lenistwo. Kochamy obrazki. Tam gdzie nie tylko słychać, ale i widać nie ma miejsca na niepokojące dwuznaczności, świat staje się nieskomplikowany. Jeśli brakuje melodramatu, to poszukamy go wśród starych filmów, starych powieści, jeśli tekst nie będzie dość

melodramatyczny — obrazki zrobią resztę. Recepta na udane widowisko telewizyjne sprowadza się do odkrycia wszechmocnej władzy łatwych wzruszeń.

W tej sytuacji dopiero widać, jak bardzo mądry i jak bardzo chytry jest Alfred Hitchcock, który w swoich półgodzinnych filmach umie się zdobyć na doskonale wyważony kompromis: wpraw-

dzie sztuka, ale z ręcznie zrównoważoną tradycyjnymi chwytami sensacji, by coś zostało widzowi z jego wzrzuconych upodobań. Są wprawdzie tacy, którzy chcą przez telewizję złać doszczętnie nasz model estetyczny. Ale nie martwmy się. Czeka nas jeszcze wiele szmiry. Wiele lat artystycznie stylizowanej szmiry.

MIKS

Na WARIACKICH papierach

Sad ma w sobie coś jednak z teatru. Co za wspaniała galeria typów i postaw, jakie kolosalne możliwości dramatyczne. I to wszystko dzieje się naprawdę. Ma swoje realne konsekwencje. Zrywa z umownością. Krew jest krwią, zdrada zdradą. Widowiska odychające niekiedy swoją wymową, ale za to pociągające autentyzmem. Tym, czego jesteśmy spragnieni najbardziej. Właśnie dlatego rzadko który spektakl teatralny potrafi tak rozgrzać publiczność jak przeciętny procesik karny. Widowisko sądowe jest widowiskiem nie lada jakim. A przecież nowinek inscenizacyjnych jest bardzo niewiele. Raz na parę lat jakaś nowela, przepisów ustawy. Wiece w gruncie rzeczy wszystko jest formalnie stare, wszystko jest w granicach tego, na co zezwala prawo procesowe.

Szlaki są przetarte i już nikt dziś nie ma na zawołanie nowych środków wyrazu. Stereotypy powtarzają się w zależności od stanów faktycznych. Zresztą nie ma co ukrywać, że pierwszy lepszy podręcznik prawa procesowego podaje wyczerpująco chwytliwych, których dobrze się imać w określonej sytuacji. Sytuacje też się od czasu do czasu powtarzają. Oczywiście żadna nie jest dosłownym powtórzeniem tej pierwszej, tej dziesiątej, wcześniejszej. Ale w końcu jest coś, co je

razem klei. Toteż umieć się znaleźć, blynąć, pokazać swój talent — to już wymaga dobrze opanowanego warsztatu. Więc jedna ze stron po dłuższym przemówieniu wyszła na środek sali rozpraw, aby zastukać w stół sędziowski. Zapukała trzy razy. Co miało znaczyć, że to puka Sprawiedliwość.

Ale dość ogólników, spróbujmy się zdeklarować. Oczywiście, że idzie o chwytliwy stosowane przez obrońców, przez obronę, przez ludzi w logach obszytych zieloną taśmą. Zieloną? Nie jestem sentymentalny, aż taki wariat to ja jednak nie jestem, ale czy to nie kolor nadziei. Oczywiście, z symbolu może nie wynikać, albo może wynikać rozdzźwięk między jego powszechnie przyjętym znaczeniem, a rolą, jaką narzucają jakieś szczególne okoliczności. Symbole potrafią być też wieloznaczne. Ale tutaj nie z takiej szpary, z takiej wyrwy wzmagającej napięcie. Zielony kolor jest zielony jednoznacznie. A rola ludzi ubranych w togę obszytą taśmą w tym kolorze? Jest, rzekłbym, najwidoczniejsza z możliwych. Obrona człowieka w nieszczęśliwej, której nie może sam sobie poradzić. Niekoniecznie ze względu na nieznaną osobę. Często ze względu na właściwości psychiki. Często jako reakcja na krzywdzące posadzenie. Bo nawet gdy

czyn wzbudza odrazę, broniąc oskarżonego nie musimy się z nim solidaryzować. Ostatecznie można nie podejmować się obrony. Ale lepiej szukać pierwiastków człowieczeństwa nawet w najbardziej zatwardziałym mordercy. Może to być przecież zatwardziałość pozorna. A jeśli, jak to się zdarza, oskarżony jest w ogóle niewinny? Jeśli tylko szczególny spłot okoliczności wplątuje uczciwego człowieka w macki maszyny sprawiedliwości? Hej to satysfakcji może dać obrońcy podniesienie takich momentów, które sprawia, że oskarżony zostanie niewinnym, ocalony, wyciągnięty z ołtarza poniżenia.

Tak, rola obrońcy jest rolą najwładniejszą. Nie idzie mi tu wcale o sprawę dochodów. Dochody według znannej paremii łacińskiej są poza moralnością, poza etykiem oceną. Powiedziemy, że nie dochody, tylko pieniądze. A ja wszystko w płaszczyźnie ocen moralnych. Oskarżać? O wiele mniej przyjemne, nawet gdy za tym stoi interes społeczny. A już orzekać, być sędzią. To jest ogromna, rzeczywista odpowiedzialność rozstrzygać o czymś losie. Bo w końcu to jednak sędzia rozstrzyga, bierze to na siebie. Ale to nieprawda, że wszyscy jesteśmy sędziami. Nawet metaforycznie, jak chcą panowie z telewizji. Ale oskarżonym może być każdy z nas. Potencjalna możliwość istnieje, chociaż jeśli idzie o stopień prawdopodobieństwa... Więc pomijając stopień prawdopodobieństwa każdy z nas może znaleźć się w sytuacji, która skłania do zwrócenia się z prośbą o pomoc do adwokata. Można to zrobić osobiście, albo przez rodzinę. Kiedy oskarżony jest, mówiąc potocznie, „przyznanym”, wtedy rodzina szuka

mu obrońcy. Wypytuje znajomych, którzy kiedykolwiek otarli się o sądy. Może znać jakiegoś dobrego mecenasa? Ale takiego, co jeszcze nie przegrał żadnej sprawy. Znałem takiego jednego, ale wyjechał. powiada znajomy. To może znać przypadkiem takiego, co przegrał tylko jedną sprawę? (Jakby konsekwencje groziły obrońcy, nie oskarżonemu). No, takiego to już będzie łatwiej znaleźć.

Oskarżony liczy na swego obrońcę. Przecież rozmowa w cztery oczy przynosiła nieco ulgi i nadziei. Mecenasa go wypłaca. Mecenasa na sprawę pokaże co potrafi. Ten z wyboru, który wziął pieniądze. W odróżnieniu od tego z urzędu, który broni z musu. Bez zainteresowania. Bez przyrzeczenia.

Ale na sali rozpraw mało zaskoczenie. Mecenasa nie ma. Mecenasa się spóźnia? A może gwałtownie przeszedł metamorfozę, stał się młodszym, jak Faust. Bo przecież jakiś inny człowiek w todzie przyszedł i gwałtownie próbuje wstąpić w sprawę. Zrozumieć o co chodzi. bo akta leżą na stole sędziowskim i są już niedostępne. Mecenasa? Owszem, ale substytut. Ale zastępca, który nie ma często najmniejszego pojęcia o sprawie. „Zorganizowany” dosłownie w ostatniej chwili, gdy umówiony obrońca poszedł bronić innego oskarżonego, który go też

umówił. I wszystko zgodnie z prawem, wszystko zgodnie z umową. Klient sam na siebie podpisał cyrograf, choć nie rozumiał, że go podpisuje. Substytucja? Iu oskarżonych rozumie słowo substytucja. I na sali sądowej spada w ciemną otchłań rozpaczy, że już użył chwytów stylistycznych adwokatów.

Ale do czego to ja zmierzam, wszak sezon się skończył i w prasie przebrzmiały dyskusje oraz spory. Zresztą jest rezultat w postaci ustawy. Nowej ustawy o adwokaturze. Koniec wieńczy dzielo i gasi polemiczny zapal. Pobudza co najwyżej do rozważań wokół, ale jako musztarda po obiedzie. Więc bez żaru, bez namietności, bez bicia się w pierś. A to pierwszy krok na drodze do nieznośnej akademickości, której już nawet wydziały prawa uniwersyteckie nie chcą tolerować. Czy adwokat jest urzędnikiem albo czy nim się stanie z mocy ustawy? Oto przedsmak i próbka tego, co nas czeka najbliższej wiosny, zwłaszcza że są już pierwsze jaskółki na łamach. Rozważania będą powoli nabierać rumieńców w gronie wjałmionych, jak to się zwykle dzieje, gdy jakaś reforma ma konsekwencje finansowe. A ta ma finansowe i organizacyjne. Myślę, że zapewnią sprawiedliwy podział forsy. I pewnie nieco ograniczą substytucję, przynajmniej nieco.

SKRYBA



z jazzu i samych muzyków na dwa skłócone obczy. „Trzecie Pokolenie” wystąpiło bowiem z zupełnie nową koncepcją, w której swobodna improwizacja poprzedniego okresu wyparła została przez dążenie do ściślego wyrażania muzyką zaplanowanej niejako myśli luźno tylko związanej z tematem muzycznym — do świadomego jej rozwinięcia. Pionierzy be-bopu — bo tak między innymi zwano ten kierunek — pianista Thelonius Monk, trębacz „Dizy” Gillespie i saksofonista Charlie „Bird” Parker czerpali tematy muzyczne zarówno z jazzu tradycyjnego, jak i z awangardowych kompozycji współczesnej muzyki klasycznej.

Solowe popisy instrumentalistów jazzu be-bopu polegały na przedstawianiu szkalowanego niemal tematu muzycznego przetwarzanego śmiało i parafrazami. Charlie Parker w swoich improwizacjach wplatał pierwotną melodię w taki kontekst muzyczny, który pozwalał niekiedy melodię tej tylko się domyślać. Gra przedstawicieli be-bopu robi wrażenie „ostrej”, nerwowej i niespokojnej. Nie też dziwnego, że to nowatorstwo i trudne muzykowanie powoduje gwałtowne dyskusje, których zaciekle ataki na be-bop skierają się z namielnymi próbami obrony. Najlepiej bronił się jednak sama muzyka, która wprowadzając do nieco skostniałego, przetrwałego się już muzykowania swingowego, czy archaicznego jazzu odrodzenia nowoortodoksyjnego nowe wartości estetyczne, kładzie w latach 1941-1945 podwaliny pod nowy kierunek — tak zwany „modern jazz”.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia reklam, nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Istnieje także druk „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. 2km. 1097 IV 64. F-4